Nr. 37. 13. Listopada 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$

MARYA.

Szkic powieściowy.

Ciąg dalszy.

II.

Kamienica tworząca róg między placem św. Ducha i Długą ulicą była wówczas tak co do wielkości jak co do rozkładu wewnętrznego zupełnie różną od dzisiejszej. W miejscu, które teraz sklep Singera zajmuje, była wtedy brama i zajazd, a wzdłuż ściany od placu prowadziły wschody kamienne na pierwsze piętro, ztąd znowu drewniane w innym kierunku na drugie. Środkowa część tych dwóch piąter tworzyła przestrzeń powałą nie przerwaną, oświetloną z góry i otoczoną galeryą, obiegającą trzy strony domu. Z tej to galeryi prowadziły drzwi do przednich, tylnich i bocznych pomieszkań. Ostatnie miały okna na ulicę Ciasną, jeszcze teraz istniejącą. Wyszedłszy na drugie piętro tej kamienicy, może oglądałeś się za sposobem, jakimby się dostać na strych; lecz tylko w dzień bardzo jasny mógłeś dostrzedz nad sobą w ciemnej sieni ubocznej obszerny otwór, do którego zwykle przyparta drabina wiodła cię pod strzechę. Tu obok drzwi do strychów były i inne porządniejsze, któremi wchodziło się do obszernego lecz niskiego pokoju, z którym znowu ukryty gabinecik się łączył. W tymto pokoju zawalonym różnemi staremi gratami mieszkał p. Strocki niedawno przyjęty rezydent i zarazem plenipotent właściciela domu. Tegoż Strockiego, chociaż nie był szlachcicem, pan Mierzański dla zdolności, zasług publicznych i gorliwości jego w pełnieniu obowiązków wielce poważał, a nawet ku zgrozie i zawiści szlacheckich domowników swoich z nim się spoufalił i jak z równym sobie obchodził. Nocowali w tym pokoju często i inni, wszelkiego rodzaju i wszelkiej rangi oficyaliści pana Mierzańskiego, gdy w interesach tegoż do Lwowa przyjeżdżali. O skrytym pokoiku pod dachem oprócz pana Mierzańskiego i jego plenipotenta nikt nie wiedział.— Co do rozkładu pierwszego piętra dodać musimy, że frontowe pokoje w niczem nie różniły się od zwykłych pokoi szlacheckich owego czasu, część jednak piętra wychodząca na dosyć duży dziedziniec tworzyła obszerną wysoką salę o trzech oknach. Nad ciemnem przedpokoikiem tej sali była szeroka galerya dla orkiestry balowej przeznaczona, z którą łączyły się dwie loże z owalnemi oknami na salę. Pokój i kuchnia na zwykły drewniany ganek wychodząca przypierały do tej sali.

Dziedziniec wązki ale długi kończył się tam, gdzie jeden z późniejszych właścicieli wystawił drugą kamienicę od wałów, której wtedy nawet śladu nie było. Zwyczajna brama jakby wrota z furtką zamykała dziedziniec z tej strony. Naprzeciw tej bramy pod samemi wałami stał wtedy jednopiętrowy dosyć dziwacznej formy domek bez dziedzińca. Wały same przerywała droga od kościoła jezuickiego do mostu kamiennego nad Pełtwią prowadzaca. Pod wałami po lewej ręce stał odwach, który później przeniesiono na plac ś. Ducha.

Zostawiliśmy pana Karnowskiego późną nocą przemykającego się po pod lipy wałów od Halickiego przedmieścia. W miarę jak się zbliżał do odwachu coraz ciszszym krokiem spieszył naprzód. Gdy doszedł do owego domku jednopiętrowego, stanął i wytężonem okiem zbadał ciemną przestrzeń między wałami i domem pana Mierzańskiego, potem zboczył na prawo i w jednej chwili stanął przed znaną nam tylną bramą. Wydobył klucz z kieszeni; zaskrzypiał zamek, skrzypnęły zawiasy, furtka zapadła z hałasem. Na dziedzińcu zatrzymał się chwilę i słuchał, czyli odgłos nie ściągnął uwagi poblizkiego szyldwachu. Ale kroki żołnierza nie zatrzymały się w jednostajnym pochodzie.

Dom, czyli jak go wówczas nazywano, pałac pana Mierzańskiego, często hucznemi zabawami głośny, tej nocy zdawał się obumarłym. Okna, z których nieraz jaskrawa światłość rozlewała się w pobliżu, ciemniejszą od nocy źrenicą bezdusznie patrzały na nocnego przechodnia, a odgłos balowej muzyki ustąpił ciszy grobowej. Zdawało się, że dom wraz z mieszkańcami pogrążony w twardym śnie używał potrzebnego po tylu nocach bezsennych spoczynku. Co do mieszkańców było inaczej. W jednym z pokojów domu tego gotowano walkę, która miała odmienić postać Wschodu ówczesnej Europy. Ale z okien szczelnie zasłoniętych żaden promień nie zdradzał, że tam ktoś czuwa, a życie wystawne i hulackie pana Mierzańskiego odwróciło dotychczas uwagę władz podejrzliwych od domu jego.

Do drzwi tego pokoju zapukał pan Karnowski w sposób umówiony.

— Władysław? — zapytano wewnątrz.

— Władysław.

Odchyliły się drzwi i wstąpił do ciemnego alkierza.

— Czy jesteście? — zapytał wchodzący.

— Nie wszyscy. Węgleński i Pierzchała wyjechali do Krakowa, Nowakowskiego mają na oku.

Po tej krótkiej rozmowie pan Mierzański wprowadził towarzysza do pokoju. Pokój i sprzęt jego nie różnił się niczem od pomieszkań zamożnej szlachty owego czasu. Znaczny zbiór różnej zbroi po jednej ścianie symetrycznie na zielonym suknie rozwieszonej i kilkanaście antenatów na ścianie przeciwległej świadczyły o duchu rycerskim, jaki nie przestał panować w jego rodzinie.

Obok kominka, na którym się paliło, siedziały przy stole dwie postacie co do wyrazu i stroju różniące się od siebie. Jedna z nich w skromnym stroju polskim z podgoloną czupryną podniosła się z niejakiem uszanowaniem i z uprzejmą serdecznością witała wchodzącego pana Karnowskiego. Byłto znany nam plenipotent gospodarza. Druga osoba w wykwintnym negliżu francuzkim, podając rękę Karnowskiemu rzuciła z przyjacielskim uśmiechem dowcip francuzki o niewiernych ćmach nocnych i o żonach opuszczonych.

Dowcipkował w ten sposób pan wicehrabia de Saint Preux, wysłannik polityczny posła francuzkiego przy Porcie Ottomańskiej, pana Aubert du Bayet. Będąc potomkiem znakomitej rodziny francuzkiej mógł w kraju naszym odgrywać rolę emigranta royalisty i jako taki być przyjmowanym w domu pana Mierzańskiego bez narażenia tegoż, mógł zamieszkiwać u niego i zostawać z nim w najściślejszej zażyłości. Nie raziły też poufne stosunki, w które wchodził ze szlachtą podejrzaną lub skompromitowaną; uważano go bowiem za osobę nie biorącą żadnego czynnego udziału w tem, co w kraju się gotowało i mniemano, że stosunki, jakie pozawiązywał, były czysto osobistemi. Zresztą tylko kilka osób przypuszczono do tajemnicy jego poselstwa; otwartość bowiem polska oszczędziła mu prawie potrzebą ajentów nawet tam, gdzie się mu nie było wolno spuścić na zdania, raporty i działania komitetowych.

Pan Mierzański sam, mężczyzna udatnej polskiej postaci mimo zamiłowania w zbrojach ojczystych, mimo antenatów, mimo skłonności i nawyknień czysto narodowych przejęty duchem czasu i podziwieniem oświaty francuzkiej przywdział strój i przyjął zwyczaje tego narodu. Łączył jednak z dworskością francuzką wyraz powagi nieoddzielnej od charakteru polskiego. Był on za czasów czteroletniego sejmu jednym z najgorliwszych patryotów, a pod najwyższym naczelnikiem jednym z najdzielniejszych oficerów. Szeroka blizna na czole odniesiona przy obronie Wilna świadczyła o jego męztwie.

— Cóż cię tak późno sprowadza? — zapytał pan Mierzański nowoprzybyłego.

— Szukam schronienia u ciebie. W domu mam gości, którzy mnie zapraszają do siebie — rzekł z uśmiechem nieco gorżkim.

— Zdradzono cię? — zapytał Francuz.

— Z przeproszeniem, panie hrabio — przerwał mu żywo pan Strocki — zdrajców u nas nie ma.

— Być może, ale nieostrożnych tem więcej. Jesteście jak głuśce na wiosnę: wyspiewujecie wiatrom co macie na sercu, nie pomni, że niecierpliwem wylaniem tęsknoty waszej zwabiacie i strzelca, który was skrycie podchodzi. Daruj panie Karnowski, nie ciebie się tyczy ten zarzut. Stanowisko korespondenta tak narażające cię pierwej czy później musiało zwrócić na ciebie uwagę.

— Mniejsza o mnie — odrzekł na to pan Karnowski — ale...,

— Spodziewam się, że papiery, któreby kogokolwiek skompromitować mogły — przerwał mu pan de Saint-Preux — są w schowaniu bezpiecznem.

— Bądźcie spokojni panowie o osobę hrabiego.

— Mości panie!...

Z tem słowem zerwał się wicehrabia, opamiętawszy się jednak po chwili rzekł z dumą:

— Członków rodziny de Saint-Preux żadne niebezpieczeństwo nigdy nie zdołało zatrwożyć. Ale cóż? czyż się nie znamy? — dodał łagodnie podając panu Karnowskiemu rękę, którą tenże serdecznie uścisnął, mówiąc:

— Nie do ciebie mówiłem, nie do pana de St. Preux. Niech powiem otwarcie: gdzie idzie o los, o życie tylu zacnych, tylu drogich nam istot, tam bezpieczeństwo j e d n e j, choćby t w o j e j osoby nie wiele zaważy; nam chodzi o cel wytknięty, o ojczyznę, o ocalenie stosunków, w których przez ciebie zostajemy z rzeczapospolitą francuzką, o cześć własnego narodu, pod którego jesteś opieką, a któremu winni jesteśmy strzedz cię jak źrenicy oka naszego. Nie ciebie chciałem uspokoić, lecz braci moich. Za pana de St. Preux dam się w potrzebie zarąbać, ale śród walki ogólnej o jego los niespokojnym nie będę.

Promień podziwu zabłysnął w oczach wicehrabiego; ale uczuciu swojemu nie dał żadnego wyrazu.

— Instrukcyę, jaką mam od pana de St. Preux — mówił dalej Karnowski — i listy, które mi powierzył, noszę przy sobie, inne papiery jego, ktore pojutrze miałem wziąść z sobą do Bukaresztu, są w pewnych rękach.

— W rękach, mówisz? — zapytał pan Mierzyński.

— Żony mojej — odpowiedział spokojnie pan Karnowski rzucając dumnem okiem na obecnych — żony mojej.

Nastąpiła pauza.

— Nie mógłeś zapewne postąpić sobie inaczej — zarzucił mu Strocki

— Mogłem; ale nie mogłem bezpieczniej. Innych papierów niestety nie miałem czasu oddać w jej ręce a choć schowanie, gdzie je złożyłem, jest pewne, dobrze ukryte i jej wiadome, nie mogłaby jednak zniszczyć ich w chwili nagłego najścia. Jeżli przypadek lub złość ludzka zdradziły kryjówkę, gdzie się znajdują, wielu braci mogłoby paść ofiarą srogich prześladowań. Lecz przystąpmy do rzeczy. Chciałbym, jeżeli to być może, jutro wyjechać.

— Do rzeczy — do rzeczy — naglili wszyscy.

Niepokój, który zrazu ogarnął umysł komitetowych wnet ustąpił silnemu zajęciu sprawami kraju, które się już stały ich żywiołem.

Zasiedli przy stole, jako sekretarz komitetu Strocki a pan Mierzański jako marszałek czynności tej nocy.

— Sprawy bieżące — rzekł, a potem zwracając mowę do Karnowskiego, zapytał:

— Czy przybył Harwas?

— Przybył — odpowiedział zapytany — wszystko dobrze. Wojsko moskiewskie stojące nad Dniestrem jest nieliczne, źle uzbrojone i chore. Naszych liczba wzrasta, choć jeszcze nieznacznie. Oto list z Bukaresztu który mi doręczył. — To mówiąc oddał papier, który mu był Harwas podsunął, w ręce sekretarza.

Strocki czytał w głos. Był to list od Ksawerego Dąbrowskiego, w którym donosił, że wysłany z Paryża od komitetu polskiego zawiązał konfederacyą w Bukareszcie pod protekcyą tajną Rzeczypospolitej francuzkiej, że konfaderacya ta uzyskała przychylność Porty Ottomańskiej. Paswan Oglu, Pasza Widdynia pozyskany dla wyprawy gotującej się obiecał ośm tysięcy konnicy i sześćset koni pod żołnierzy i oficerów polskich nad granicą rozłożonych; do tego bateryę z całym przyborem. Wychodźców zebrało się pod Filipowcami do dwóch tysięcy, między nimi oficerowie pełni zasług, imiona z ostatnich wojen w kraju rozgłos mające: Jabłonowski, Sułkowski, Kosmowski, Tremo, Kochanowski, Bogdanowicz, Pieniażek, Ostrowski, Działyński i inni. Zapał w wojsku był wielki, nadzieje niezłomne. Tylko pieniędzy brakowało, odzieży i broni.

— Wysłaliśmy sukna na 1000 ludzi — rzekł marszałek — reszta już w drodze. Co do broni i pieniędzy...

— Będzie to staraniem Rzeczypospolitej francuzkiej — przerwał mu Francuz — pan *de la Croix*, minister wojny już wysłał dziesięć tysięcy karabinów i dwie baterye do Oczakowa. O pieniądze trudniej; Francya zadłużona, Rzeczypospolita sama wielką wojną zajęta. Coście sami zebrali, niedosyć.

— Niedosyć, niedosyć! — westchnął pan Karnowski.

— Ale może wystarczyć na pierwsze potrzeby — dodał Strocki. — Ofiary, jakie kraj poniósł w ostatnich czasach, — nie dozwoliły mu zebrać większych sum w pierwszej chwili. Obywatelstwo ubogie — ale żołnierz nasz mało ma potrzeb, jest cierpliwy.

— Pieniędzy, panowie, pieniędzy i ludzi nam potrzeba — przerwał mu wysłannik francuzki — zresztą mniejsza o pierwsze. Francya choć sama w odmęcie gotowa pożyczyć wam kilka milionów na pierwsze niezbędne potrzeby — byleście ich nie zmarnowali — ale co do ludzi, to rzecz nie nasza. Dwa tysiące mówicie panowie? to mało, mało? Żądamy przynajmniej trzy razy tyle. Francya burd wywoływać nie chce, byłoby to niegodnem Rzeczypospolitej. Dywersyi dla bohaterskich wojsk swoich nie potrzebuje, ona sama wydoła nieprzyjacielom swoim. Podajemy wam rękę nie na to, aby na rzeź wyprowadzić garstkę bratniego nam narodu, lecz aby naród ten wskrzesić. Nieprzyjaźne nam kraje dzielą nasze narody: pomoc nasza wtedy tylko może być skuteczną, jeżeli własnych rąk przyłożycie, sami dźwignąć się potraficie. Niech naród stanie do walki, a my mu upaść nie damy Dźwignąć wielki naród oto polityka wielkiego narodu, polityka godna wielkich tradycyi, Henryka IV. i kardynała Ryszelieu.

— Ciszej, ciszej, mości hrabio — przerwał mu z uśmiechem pan Mierzyński, myślałby kto, że mamy przed sobą wysłannika księcia Condé i royalistów francuzkich, nie zaś republikanina, Jakubina.

— Winienem wam wyjaśnienia — odpowiedział na zarzut wicehrabia — jestem potomkiem dawnej znakomitej nawet familii. Przodkowie moi Tureny. Jestem dumny z tego, że wszędzie gdzie chodziło o wielkość, o bezpieczeństwo kraju, nie brakło członków rodziny mojej. Nie masz walki w historyi mego narodu, w którejby dom nasz nie miał udziału, czy dzierzył broń, czy radził, czy sądził. Czy który stał na czele czy stał w szeregu — równy mu zaszczyt — służył sprawie krajowej. Historya rodziny naszej zrosła się z dziejami narodu. Wielkość i sława Francyi była dla nas sprawą rodziny. Klęski i poniżenie narodu były nieszczęściem naszem. Poczuliśmy się przedewszystkiem Francuzami. Imie nasze, wyższe stanowisko w społeczeństwie, i godności, które na nas spływały, były nam drogiemi, bo były zaszczytami, któremi nas kraj obdarzył, bo pozwoliły nam być Francuzami bardziej czynnemi, dali nam sposobność do ofiar większych, do większego poświęcenia dla ogółu. Uczuliśmy, że być Francuzem jest większym zaszczytem aniżeli nosić tytuł wicehrabiego, większym przywilejem niż przywileja szlacheckie, imieniem znakomitszem niżeli starodawne imię de St. Preux. Czciliśmy w każdym rodaku brata Francuza w miarę jak się poczuł do swej godności narodowej i w miarę jak naród uczcił w swoich czynnościach...

Po chwili wytchnienia mówił dalej:

Kiedy oświata szerząca się zeszła do klas średnich do trzeciego stanu, kiedy cnoty, szlachetność, odwaga poświęcenie się, czynny udział w sprawach Francyi przestały być przywilejem szlachty, witaliśmy z radością rozszerzone koło czynnych obywateli i ze zgrozą i wzgardą patrzaliśmy na zgraję rozwiązłych dworaków, którzy zapominając o godności swej obywatelskiej otaczały skażony przez rejencyą i Ludwika XV. tron francuzki. Przejęło nas najżywszym smutkiem, że synowie pierwszych rodzin naszych bratali się z ludźmi, którzy tylko przez podlenie się, usłużne pochlebstwo i rozwiązłość dostąpili tytułów i urzędów na zgubę kraju. Opłakany stan niemocy, w który sprzedajność i rozrzutność nas pogrążyły, groziły poniżeniem, zagładą. Nie zwątpiliśmy o przyszłości Francyi, widzieliśmy jeszcze tyle cnót obywatelskich w większej części szlachty, w stanie trzecim. W połączeniu z nim można było podnieść upadającą ojczyznę; podaliśmy sobie rękę,

nieszczęśliwy Ludwik XVI połączył się z nami. Początki rewolucyi świadczą o szlachetności naszych zamiarów. Ale walka między dwoma stronnictwami ostatnich krańców, między dworską zepsutą szlachtą i jakubinami coraz zajadliwiej prowadzona, zostawiła nam tylko wybór między jedną i drugą. Nie wahałem się stanąć przy republikaninach. Nie wierzyłem w ich zwycięztwo, ale wierzyłem w ich patryotyzm. Wolałem zginąć w szeregach potępionej od Europy partyi, bo u niej była miłość ojczyzny, u niej poświęcenie, wiara, energia i zapał. Nie podzielam zasad republikańskich, potępiam jakubinizm i anarchią, ale ze zgrozą wspominam owych naszych markizów i duków, którzy pod chorągwią obcą wystąpili przeciw Francyi, i którzy dali się prześcignąć w patryotyzmie owym krwawym prorokom anarchii i ich fanatycznej tłuszczy. Bieg rewolucyi byłby wziął inny kierunek, gdyby celniejsi w narodzie nie byli stali na boku. — Staliśmy na boku, zostawiliśmy innym to szczęście wskrzeszenia obumarłej Francyi. Zdawało nam się, że w nas tylko jednych skupiła się siła narodu: innych uważaliśmy za motłoch bezmyślny i tłum; a owoż ten motłoch, ten tłum wyratował Francyę z toni. Usunęliśmy się sami, obchodzono się bez nas. Jakaż gorycz w tej myśli! — Odrodzona Francya stanęła silnie pośród groźnej Europy, dzielna odmłodnieniem swojem, wielka, bo jednolita. Czyż nam tu nie było stanąć na czele, stanąć w szeregach wspólnie z nowo przybyłą bracią naszą? Nie pojęliśmy szczęścia naszego. Przejęło nas trwogą, że się ciasne koło nasze rozszerzyło na cały naród, że miasto stu tysięcy stanęło od razu tyle milionów Francuzów, gotowych do pracy narodowej, do walki, do poświęcenia. Czemże są przywileja nasze w obec wolności? Któż zresztą naruszył prawa naszego, być pierwszymi na wyłomie, pierwszymi na wałach, pierwszymi poświęceniem? Któż zdoła zatrzeć zasługi przodków naszych? wydrzeć nam imie nasze? Nia masz we Francyi republikanina, któryby nie był dumny z wielkich czynów ojców naszych, któryby ze czcią nie wspomniał dawne zwycięztwa, a świetniejsze może klęski nasze? Któż nie podniesie głowę na myśl, że w bitwie pod Azincourt dziesięć tysięcy szlachty francuzkiej wraz z hetmanem i siedmiu książętami krwi dało gardło dzielnie broniąc kraju przeciw najezdzcy? Podwaliny dawnej Francyi pogniły, runęła w gruzy; ale na jej miejscu powstała nowa, potężna, przyszłością świetna, lecz kiedy z dawnym gmachem dawno skruszałe bożkowie runęły, to przecież bóstwo dawne nam pozostanie — świętości dawne odbiorą cześć w nowej świątyni. Szczęśliwy ten, którego przodkowie poświęcali się służbie dawnej ojczyzny, który sam poświęca się nowej. Żyje on życiem dwojakiem; życiem wspomnień dawnej wielkości, życiem czynów żywego narodu! — Oby mi przyszło —

Tu przerwał a na szlachetnej twarzy jego wystąpił wyraz uroczystego zachwytu.

Słuchacze jego milczeli, myśl goniła za myślą, a rzewne uczucie ogarnęło ich serca.

— I myśmy mieli Targowicę, rzekł w zadumaniu Mierzański — i u nas znalazła się szlachta, która zapomniała, że jest szlachtą polską.

— Nie wspominajmy o rzeczach minionych odpowiedział Karnowski, zajmijmy się chwilą obecną. Targowiczan się nie lękamy, jakubinów w Polsce nie ma.

— Ale ci co na boku stoją — zobojętniali, bezduszni — przerwał z obruszeniem Strocki — ci co—

Tentent konia szybko kłusującego coraz głośniej dał się słyszeć na ulicy i ściągnął na siebie uwagę rozmawiających. Przed domem jeździec zatrzymał konia, a po chwili słyszeli niecierpliwe pukanie do bramy, w krótkich ustępach powtarzające się. Nareszcie otworzył stróż bramę. Ciężkie kroki odzywały się na wschodach, minęły drzwi pokoju gdzie się posiedzenie odbywało: klamka przyległej komórki skrzypnęła.

— Kto to taki? zerwał się kozak pana Mierzańskiego.

— To ja; Walenty, otwórzcie!

— A wy skąd się tu wzięli?

— Jest list do pana waszego od pani naszej.

— Od Karnowskiej?

— Tak jest; trza go oddać natychmiast.

— Ta gdzież-to budzić naszego pana tak późno?

— To go sam chyba zbudzę, mam rozkaz. Ej Macieju guzdracie się, guzdracie, nie tak to bywało pod panem Naczelnikiem — Ot bieda! Trwoga na naszych!

Po chwili furman a dawny wachmistrz pana Karnowskiego stał wyprężony przed panem swoim, który niespokojnym krokiem przechodząc się po pokoju wywiadywał się dokładnie o wszystkiem co się stało.

Nadzwyczajna przytomność żony jego usunęła papiery; kamień spadł mu z serca, gdy się o tem dowiedział.

— A nasz Władyś, mój Macieju — syn mój, czy się mocno przestraszył?

— Ta to dziecię żołnierskie, mości majorze; a choć ledwo odrósł kolebki, to przecież — gdzieżby chłopczyk majora się bał? —

Major zasiadł do stolika i kilka słów napisał do żony, potem wstawszy podał je staremu wiarusowi.

— Spiesz — rzekł — oddaj to pani; ale ostrożnie! zrozumiałeś — a gdy tenże żegnając się ścisnął jego kolana: Nie rozczulaj się stary, zobaczymy się znowu, a może inaczej:

— O mój Boże, że to człowiek kaleka?

— Żebyś mi pani strzegł, i Władysia! Bywaj zdrów bracie — do zobaczenia!

Gdy Maciej wyszedł, rzucił jeszcze raz okiem na list żony:

»Uprzątnęłam — pisała — Władzio zdrów — Nie wracaj! Oby cię Bóg miał w swojej opiece. Całuję list ten. Odpisz. Twoja Marynia.«

Karnowski przycisnął usta do śladów łez, które spostrzegł na kartce — łza mu się z oczu skręciła — westchnął.

Tymczasem tamci wyszli z gabinetu gdzie się chwilowo ukryli.

Narada szła dalej. Strockiemu polecono wygotować kilka listów, które major miał wziąść ze sobą do Bukaresztu przededniem.

Kiedy Strocki zajmował się pisaniem, Karnowski szepnął do wicehrabiego:

— Kilka słów — osobistych — u ciebie w pokoju.

Lekki rumieniec przeleciał przez lica zagadnionego.

— Jak wyjdziemy, odrzekł.

Rozeszli się wnet: tylko Strocki został przy listach:

Wszedłszy do pokoju pan de Saint Preux chciał świecę zapalić.

— Zostaw! powstrzymał go Karnowski, będzie tak lepiej:

Usiedli po ciemku. Karnowski po chwili drzącym nieco głosem rzekł:

— Słuchaj, ale nie odpowiadaj, bo mógłbyś mię obaczyć w chwili słabej. Czy dasz mi słowo na to?

— Daję — rzekł po chwili wicehrabia.

— Wiem ciągnął dalej Karnowski, że żona moja nie jest ci obojętną. W szlachetnem sercu twojem miłość ojczyzny, poświęcenie się i cnoty domowe odgłos znaleźć musiały. Ścisłe stosunki, w których dla względów politycznych zostawałeś z domem naszym, otworzyły ci wszystkie tajniki szlachetnego jej serca. Poznałeś Polkę, matkę, żonę, obywatelkę. — Jestem ci wdzięczny za to, że umiałeś poskromić uczucia swoje, że dotychczas zachowałeś względy, jakie jej, mnie i sobie winien jesteś. Wiem, że i nadal potrafisz nakazać milczenie uczuciom twoim.— Nie mówię z obawy, abyś — ciągnął dalej Karnowski — ale pomnij, że sława kobiety, choćby najszlachetniejszej, zawisła od niedorzecznych pozorów. — Przez żonę moją będę musiał nieraz skrycie porozumieć się z wami, a głównie wprost z tobą, — Oddaję cześć i spokojność naszą w ręce twoje. Cześć i spokojność.

Scisnęły się dwie ręce.

Z świtem próżny wóz wyjeżdżał z bramy tylnej kamienicy. Wracał on do dóbr pana Mierzańskiego. Na wozie leżał chłop w starym kożuchu i lulkę palił. Tym chłopem był major Karnowski.

(D. c. n.)

Ostatni wiersz Bajrona.

Czas by to serce zmilkło niewzruszone,
Gdy drugich wzruszać już się nie spodziewa,
Gdy być kochanym — chęci to szalone;
Sercuż się kochać zachciewa.

Dnie moje w listków pożółkłych dobie,
Kwiaty i owoc miłości zniszczały,
Robak zgryzoty w cierniowej żałobie —
To świat mój cały.

Ogień ów, który wichrzy w mojem łonie,
Jak wulkanicznej wyspy połysk marny,
Żadne światełko przy nim nie zapłonie;
Stos to cmentarny.

Nie dla mnie trwogi, nadzieje, tęsknoty,
Roskosz w cierpieniu i zazdrości szały;
Nie dla mnie miłość — znikł jej promyk złoty —
Więzy zostały!

Lecz dzisiaj może — dziś Hellady błonie
Rozbrzmiewać mają podobne marzenia,
Gdzie sława wieńczy bohatera skronie,
Lub grób jego opromienia.

Gdzie błyszczą miecze, sztandar rozwiniony,
Dawny blask bitew i dzisiaj niemniejszy,
I na swej tarczy Szpartanin niesiony,
Od nas wolniejszy.

Zbudź się! nie Grecyo — Grecya już zbudzona —
Zbudź się nasz duchu! — Pomnij z czyjej winy
Krwią twego serca ojczyznać przyćmiona;
Zdeptaj te podłe gadziny.

Niegodnych ogni pozytłumcie zarzewia:
Precz miękka miłość, próżne narzekanie:
Odtąd niech piękność w uśmiechu czy gniewie
Obcą zostanie.

Żal wam młodości? i pocóż żyć marnie? —
Zaszczytnej śmierci tu zewsząd blask świeci;
Dalej do boju! nieść życie ofiarnie —
Niech duch nasz wzleci!

Szukajcie — częściej znaleziony niż szukany —
Żołnierza grób najstósowniejszy chwały;
Obejrzcie się w koło — to grób opłakany,
Gdzie ojce krew swą lały!

†

Towarzystwo Przyjaciół Nauk
Poznańskie.

Wiadomo czytelnikom naszym z kilku wzmianek i pobieżnych korespondencyi przez różne pisma czasowe od czasu do czasu udzielanych, że się przed trzema laty — w r. 1857 — zawiązało w Poznaniu Towarzystwo naukowe, które powstając w podobnych okolicznościach, jak niegdyś Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie, i temi samemi ożywione dążnościami, co tamto, wznowiło jego nazwę, chociaż zakres

jego działania i środki dopięcia celu o wiele tu widzimy skromniejsze, niż wtedy. Ciężkie i ze wszech miar niepocieszające były wprawdzie i owe czasy, w których Czacki, Potoccy, Albertrandy, Dmóchowski i t. d. towarzystwo swoje zawiezywali. Wszelako Warszawa w pierwszych latach bieżącego stulecia żyła jeszcze świeżemi wspomnieniami świetnej swojej przeszłości, czuła się moralnie stolicą całego kraju, i była nawet rzeczywiście stolicą rozległych polskich prowincyi, berłu pruskiemu w skutek trzech rozbiorów kraju naszego przypadłych. Rząd ówczesny (pruski) nie wspierał wprawdzie, ale też i nie stawiał bynajmniej przeszkód usiłowaniom w sprawie narodowej oświaty podejmowanym. Wreszcie Warszawskie Towarzystwo złączyło w swojem gronie od razu najcelniejsze osobistości całego narodu i wywierało wpływ, o ile to w ówczesnych okolicznościach być mogło, nawet na prowincyach po za granicami pruskiego działu. Przeciwnie nowo zawiązane grono pracowników poznańskich widziało się zmuszonem zwrócić baczność swoją przedewszystkiem na same potrzeby szczupłego swego xięstwa i rozrządza tylko zasobami miejscowemi. Jak zaś jest trudnem, w dzisiejszym położeniu tej nieszczęśliwej prowincyi, skoncentrować do wspólnego działania choćby same tylko siły i talenta miejscowe: tego najwymowniejszym przykładem są właśnie krótkie dzieje Towarzystwa Poznańskiego.

Pomimo wszystkich i sejmów i swobód i liberalnych ustaw konstytucyjnych, a nadewszystko pomimo tej wygórowanej intelligencyi, za jakiej głównych przedstawicieli Niemcy północne słusznie czy niesłusznie się głoszą, nigdzie jeszcze pewnie nie była narodowość podległej prowincyi przez panujący nad nią ogół innoplemienny, z góry i z dołu, z taką bezwzględnością, z taką czelnością, konsekwencyą i z takim wyrafinowaniem poniewierana, jak w Prusiech narodowość xięstwa poznańskiego, mianowicie w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Wszelki nacisk zewnętrzny wywołuje zazwyczaj sprężystość z wewnątrz. Im więcej uroszczeń, im więcej żądań niesprawiedliwych z jednej, tem też więcej oporu i ostrożności po drugiej stronie. Sprawdza się to często i w stosunkach poznańskich, jak to n. p. widzimy — żeby nie sięgać daleko — w sprawach roku właśnie bieżącego. Bywają jednak w takich razach i chwile zwątpienia. W boju tak trudnym, na tak różnych posterunkach jednocześnie i bez wytchnienia prowadzonym, przeciw i przemocy i podstępom, wśród ciosów wymierzonych to na interesa materyalne, to na najdroższe sprawy duchowe, trudno zaiste zachować równą zawsze ufność w swe siły, nie zachwiać się, nie popaść w pewną omdlałość, w obojętność na rzeczy najważniejsze, na najświętsze cele powszechne, byleby tylko najbliższa, własnej osoby dotycząca przyszłość była jakokolwiek zabezpieczona. Takieto smutne czasy omdlenia, apatyi, upadku i materyalnego i moralnego przez czas jakiś przebywało Xięstwo Poznańskie, po latach bolesnych wstrząśnień i najcięższego zawodu; — i zostawało w tem usposobieniu jeszcze, kiedy się zawiezywało Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Właśnie tento letarg duchowy był bezpośrednim powodem do założenia jego. Goretsze umysły, świeższe siły, ludzie młodszego pokolenia, i dla tego niezużyci zbyt przeciągłą walką i zawodami, postanowili sobie bądź co bądź, wyrwać ogół współmieszkańców z takiej senności. W każdym strapieniu najlepszym ratunkiem jest szczera praca. Praca duchowa wzmacnia i krzepi upadłych; jeśli nie podnosi od razu, to przynajmniej pociesza nawet i w materyalnych niemocach. Cóż dopiero praca na tle narodowem oparta, do której na wszelkich zewnętrznych i że tak powiem officyalnych sposobnościach zupełnie zbywało i zbywa w W. Xięstwie Poznańskiem, a co najważniejsza, praca wspólnemi rozpoczęta siłami, w połączeniu wszystkich promieni naukowych — przedtem samopas idących — do wspólnego ogniska. Do tej tedy dźwigni, do tej pokrzepiającej potęgi odwołali się dbalsi o dobro powszechne obywatele Xięstwa; i wzywając w jedno grono każdego mieszkańca prowincyi przeświadczonego o ważności oświaty narodowej a zdolnego nad nią czy w ten czy w ów sposób pracować, założyli w pierwszych miesiącach r. 1857 Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Spisawszy sobie statut, postawiwszy w nim na samem czele, jako pierwszy i główny cel towarzystwa: *pielęgnowanie nauk i umiejętności w języku polskim, z wykluczeniem wszelkiej polityki i agitacyi ustawami państwa wzbronionej,* przystąpili niezwłocznie do złożenia Zarządu Towarzystwa. Zarząd ten składa się z *prezesa* i jego *zastępcy*, z *sekretarza*, który pełni zarazem i funkcye konserwatora zbiorów towarzystwa, z *podskarbiego, bibliotekarza*, i z *redaktora.* Wybrane na te urzędy osoby w pierwszej chwili istnienia towarzystwa, zostały w następnym czasie w pewnej części zastąpione innymi, już to z powodu zgonu niektórych, już z przyczyny oddalenia się na czas dłuższy z granic prowincyi. Obecnie tedy piastuje godność prezesa hr. Tytus Działyński. Wiceprezesem jest Dr. Józef Szafarkiewicz, profesor szkoły realnej; redaktorem zostaje od pierwszej chwili Dr. Władysław Niegolewski, poseł; podskarbim jest Dr. Med. Teofil Matecki; sekretarzem Leon Wegner, syndyk w konsystorzu arcybiskupim; a bibliotekarzem p. Albin Górecki. Honorowe zaś przewodnictwo i opiekę naczelną nad towarzystwem przyjął xiądz Arcybiskup gnieźnieński i poznański, Przyłuski. — Pod prezydencyą swego prezesa odbywa Towarzystwo w ciągu roku cztery przynajmniej walne posiedzenia, nie licząc w to zgromadzeń nadzwyczajnych, które mogą być zwołane w każdej potrzebie. Na posiedzeniach zwyczajnych załatwiają się bieżące sprawy towarzystwa, czytają sprawozdania z czynności po wydziałach i odbywa się wybór członków, honorowych lub czynnych.

Wszystkich członków liczy Towarzystwo obecnie 205, liczba zaiste mała! Nie można tego jednak kłaść na karb obojętności ogółu na sprawę Towarzystwa. Jest to

jedynie następstwem tej smutnej okoliczności, że rząd a raczej dawniejszy prezes naczelny księstwa, osławionej pamięci Puttkammer, który osobistą zaciekłością wszędzie, w każdym by też najmniejszym wypadku, prześcigał zawsze życzenia i zlecenia samego rządu, wydał zaraz po zawiązaniu się Towarzystwa poznańskiego rozkaz, udzielony w formie rady i ustnie, ażeby się nauczyciele szkół publicznych wstrzymali od przyjęcia udziału w czynnościach Towarzystwa. Nie był to wprawdzie stanowczy zakaz, boć formalnie zakazać nauczycielom należeć do Towarzystwa, naukowego, którego statuta rząd sam zatwierdził, nie znajdując w nich nic sprzeciwiającego się uświęconym ustawom państwa, — tego uczynić nie mógł i nie śmiał pan Puttkammer. Takie jawne, takie bezprawne i każdemu widome przestępowanie granic urzędowej władzy nie uchodzi w konstytucyjnem państwie! Ale im dał *radę* i niby więc wynurzył prywatne *życzenie* rządu, ażeby się wszelkiej wspólności z rzeczonem towarzystwem chronili. Taka wszelako rada, choć ustna, w okolicznościach, jak poznańskie, zwłaszcza też pod takim naczelnikiem jak p. Puttkammer, to było dla nauczycieli szkół rządowych zupełnie to samo, co najsurowszy zakaz; zawisłość bowiem stanu nauczycielskiego od rządu jest tam zupełna, a w razie nieprawych prześladowań ze strony władzy miejscowej, apellacya, zwłaszcza apellacya skuteczna, bardzo trudna do najwyższych instancyi. Nastąpiło zatem, co nastąpić musiało: professorowie wszystkich gimnazyów xięstwa poznańskiego zmuszeni zostali wyrzec się wszelkiej styczności z światłemi usiłowaniami rodaków. Tym sposobem zaś zostało, jeżeli nie istnienie, to powodzenie towarzystwa dotkliwie a niespodzianie w samym zawiązku zachwiane; boć w gronie właśnie tej to korporacyi nauczycielskiej główne siły i środki działania Towarzystwa były złożone, onato intelligencyą prowincyi przedewszystkiem wyobraża i stanowi.

Co ze wszystkiego najsmutniejsze, to że wszelkie starania Towarzystwa, ażeby ten arbitralny zakaz naczelnego prezesa był uchylony przez wyższe władze, okazały się — dotąd przynajmniej — nadaremne. Napróżno jeździł w tej sprawie hr. Działyński jako prezes towarzystwa do Berlina w r. jeszcze 1858. Napróżno podnosili tę rzecz na Sejmie r. 1859 posłowie polscy Bentkowski, Cieszkowski i Niegolewski. Naprózno wznowił zarząd towarzystwa korespondencye o to, z powodu ostatniej zmiany ministeryum pruskiego, z liberalnym wyobrazicielem rządu w wydziale oświecenia, panem Bethmann-Hollwegiem. Imię p. Bethmann-Hollwega głośne jest w uczonym świecie niemieckim; a jednak nawet osobista audyencya, udzielona przez niego prezesowi towarzystwa w tym roku, nie wydała owocu. Była tam mowa i o podbitem Hieruzalem i o jakimś aramejskim dyalekcie, którym miał Chrystus nauczać lud, pomimo że ten lud był żydowskim: — ale sprawiedliwości żądanej nie wymierzono.

Bez pomocy zatem professorów publicznych, i jedynie przy współdziałaniu niektórych nauczycieli poznańskiej szkoły realnej, która jako instytut miejski, nie zależy od rządu, rozpoczęło towarzystwo działać, jak mu szczupłe jego środki i zasoby pozwalały.

Mając teraz obeznać czytelników naszych z rezultatami trzechletniej, jak dotychczas, czynności towarzystwa, uważamy za konieczne uprzedzić z góry, że jakkolwiek i to, czego ono dokonało w tak krótkim czasie, zasługuje ze wszech miar na uznanie; jednakże właśnie w skutek wspomnianych co tylko przeszkód, zaledwie cząstką tylko jest tego, coby Tow. było mogło uiścić i co sobie zamierzało, w nadziei, że się będzie mogło rozwijać swobodnie. »Skutek dotychczasowych zachodów naszych, (czytamy w sprawozdaniu z czynności) zawarowanych koniecznym względem na położenie i stosunki miejscowe, tak publiczne jak i prywatne, nie może być ani wyrazem chęci naszych, ani zaspokojeniem potrzeb, od których żywotny rozwój towarzystwa naukowego zwykł zależeć!«

Głównym objawem życia i działania towarzystwa są oczywiście prace naukowe, rozprawy, które członkowie czynni na posiedzeniach wydziałowych odczytują, celem wywołania nad niemi w całem gronie dyskussyi, a następnie ogłoszenia ich drukiem. W tym celu utworzono w łonie towarzystwa dwa specyalne wydziały, wydział nauk historycznych i moralnych, i wydział nauk przyrodniczych. Wydział historyczny liczy członków 53 i odbywa posiedzenia swoje co dwa tygodnie w gmachu Biblioteki Raczyńskich, w którym prywatnego mieszkania swego ustąpił hr. Rogier Raczyński tak na użytek tego wydziału, jak i całego Towarzystwa, a to na czas dłuższy, póki się jaki dogodniejszy lokal nie znajdzie. Kierują na posiedzeniach wydziału historycznego Dr. Marcelli Motty jako prezydujący i Maxymilian Studniarski, jako sekretarz, obydwaj professorowie przy szkole realnej. Rozpraw czytanych na posiedzeniach tego wydziału było (aż po dzień 1. stycznia 1860) w ogóle 35, pomiędzy któremi wiele dotyczyło prawdziwie zajmujących przedmiotów, jak np. Szkic historyi włościan w Polsce (przez Stan. Koźmiana), O życiu i pismach Klonowicza (przez bezimiennego), O wpływie handlu na oświatę i potęgę polityczną narodów (przez Kaź. Szulca), że już pominę ważne i ciekawe prace zamieszczone w tomie co tylko wydanym Roczników Towarzystwa, o których niżej pomówimy osobno. — Wydział drugi zawiązał się za usilnem staraniem mianowicie Dr. Gąsiorowskiego, znanego autora Historyi sztuki lekarskiej w Polsce; i postawił sobie za szczególne zadanie — wzbudzić w Xięstwie żywsze zamiłowanie do nauk przyrodniczych, a mianowicie przekonać o tem ogół jego mieszkańców, jaki pożytek wypływa z wzajemnego oddziaływania umiejętności tych na rolnictwo i odwrotnie. I tu czytają się na posiedzeniach rozprawy. Przy mniejszej ilości członków tego wydziału, których liczba dochodzi tylko do 25, posiedzenia przypadają tylko raz na miesiąc. Przewodniczy im obecnie pan Karol Karśnicki, obywatel prowincyi. Czytanych aż po koniec zeszłego roku rozpraw było 22, w różnych gałęziach badań

natury, i odbywały się nad wszystkiemi ustne dyskusye, przy szczególnej usilności wyrobienia lub przyswojenia sobie polskich wyrażeń technicznych, do rozpowszechnienia, których w całym ogóle wykształconych, dotąd w Poznańskiem prawie zupełnie na sposobnościach zbywało.

(C. d. n.)

WOLNE MIASTO BRODY

skreślił

KSIĄDZ SADOK BARĄCZ.

(*Dokończenie.*)

Na zakończenie tego obrazu przytoczę kilka ustępów z listu, którym mię zaszczycić raczył czcigodny nasz Józef Korzeniowski, w Brodach niegdyś urodzony i świadek naoczny niektórych zdarzeń miasta tego: „Odezwę pańską czytałem z wielką przyjemnością. Obudziłeś pan we mnie wspomnienia lat słodkich, lat dziecinnych, których pamięć tkwi tak żywo, chociaż tyle poźniejszych zatarło się w myśli przy rozumie dojrzalszym i oku wprawniejszem do patrzenia na świat i ludzi. Co później było, widzę jak przez mgłę; co wówczas, w tej epoce, o którą panu idzie, widzę tak żywo, tak jasno, jakby to było wczoraj. Ten folwarczek, w którym wychowałem się, który wówczas nie miał żadnego nazwiska, a po wyniesieniu się ztamtąd moich rodziców w r. 1815 musiał zapewne być nazwany Korzeniówką, rysuje się w pamięci ze wszystkiemi drzewami ogrodu, z całem obejściem, otoczonem laskiem, gdziem się tyle nabiegał i naswywolił; ta droga piaszczysta, która prowadziła z jednej strony do Brodów, z drugiej do Podkamienia i Załoziec: — to miasto żydowskie, którego ulice wszystkie i budynki stoją mi przed oczami; — ten kościół, gdziem tyle razy do mszy służył; — nawet ta budka z doskonałemi bułeczkami, która była między kościołem i probostwem, zkąd jeszcze teraz dolatuje mię zapach świeżych bułeczek; — wszystko to przerzuca mię jak laską czarodziejską do owego czasu, i pięćdziesiąt kilka lat zdejmuje mi z pleców.

»Nie wiem czy rogatka zamykająca wolne miasto Brody, stoi na dawnem miejscu. Była ona może o 300 kroków za budynkiem dużym, w którym wówczas znajdowała się waga, i który musi stać dotąd, bo był murowany i fundamentalnie zrobiony. Otóż wjeżdżając do miasta przed samą rogatką na lewo była brama, prowadząca na dziedziniec duży, na którym stał dawny folwark Ekonomii Brodzkiej. Tam urodziłem się 19 marca 1797 r. z ojca Wincentego i matki Klary z Winklerów Korzeniowskich. Co się potem z tym domem zrobiło, już nie pamiętam, wiem tylko, że ekonomia przeniesioną została o dobre ćwierć mili od rogatki na samej szosie, prowadzącej do Ponikwy, a rodzice moi w r. 1799 przenieśli się do własnego folwarczku, w tej samej odległości od rogatki, co Ekonomia, ale na ćwierć mili, lub więcej od szosy na lewo, na drodze wiodącej do Podkamienia. Było to śliczne i wygodne mieszkanie szlacheckie z ogrodem dużym, pełnym drzew fruktowych, mającym wielką szparagarnię i mnóstwo specyałów na różnych fruktach i jagodach. Zabudowania gospodarskie były obszerne i wszystkie na nowo przez ojca mego wystawione. Wszystko to otaczał prześliczny lasek, z prawej strony sosnowy, a za ogrodem dębowy, zielony, pełen woni i głosu ptaków. Z trzech stron lasek ten otoczony był naszemi polami, a z jednej, gdzie był widok na wzgórza, należące do Ponikwy i okryte bukowym lasem, była dość obszerna łąka, gdziem nieraz do potu gromadził siano i ściągał je w kopy. Możesz pan sobie wyobrazić, co to był za raik dla dzieci żywych, zdrowych, prowadzonych nie grozą, ale miłością, mających wszystko, czego dziecinna dusza zapragnęła: opiekę rozumną, a nie ciężką, wygodę i dostatek wszelkich łakoci, pole do biegania i swywoli w lasku, który był tuż za bramą, gdzie była swoboda, gdzie był cień i tyle ptaszków, które uczyły mię zawczasu śpiewać i za dary życia dziękować dawcy wszystkich darów, któremi człowiek cieszy się na ziemi.

„Tam przepędziłem lata dziecinne do ósmego roku życia. Ojciec i matka sami nauczyli mię czytać i pisać, a potem przygotowywał mię do szkół niejaki pan Filipowicz, którego fizyonomią doskonale pamiętam, który skończył kursa filozoficzne we Lwowie, ale zakochawszy się w córce pewnego mularza z jurydyki brodzkiej, który u mego ojca coś murował i odwiedziny córki swej odbierał, rzucił w kąt filozofią, dał za wygranę pedagogice i dla miłości dziewczyny, został sam mularzem, gdyż inaczej dostać jej nie mógł. Mówił mi później mój ojciec, że dobrze na tem wyszedł ów p. Filipowicz wyuczywszy się prędko sztuki mularskiej i zyskawszy wkrótce reputacyą i lepszy byt niżby mu były dały kursa filozoficzne.

„Z owego czasu, oprócz tego romansu mojego nauczyciela, pamiętam jeszcze pożar Brodów, zapewne w r. 1803 i przechód armii rossyjskiej przed bitwą pod Austerlitz. Pożar ten musiał być straszny, bo przypominam sobie dobrze łunę, która oświeciła w nocy cały nasz dziedziniec, a także i tę okoliczność, że parę familii znajomych moich rodziców przyszło piechotą do nas w nocy, w odzieniu, jakie kto mógł zachwycić, z płaczem i narzekaniem, które i teraz jeszcze w uszach się moich rozlega. Ratowali się biedni uciekając z miasta i straciwszy wszystko. W ósmym roku oddany byłem do szkoły normalnej w Brodach. Był tam wówczas bogaty kupiec, handlujący kosami, woskiem i łojem, którego zielona kamienica stała niedaleko kościoła i stanowiła jeden bok uliczki wązkiej, przegradzającej plac wielki, gdzie później stanął dom Bacha, od placu, na którym był kościoł i probostwo. Kupiec ten zniemczały krakowianin nazywał się Lacheta, miał żonę Niemkę i trzy córki troche odemnie starsze. — U niego ulokowali mię rodzice, żyjący

z rodziną tą w stosunkach przyjacielskich. Ztamtąd chodziłem do pierwszej klassy szkoły normalnej, której rektorem, czy dyrektorem, już nie pamiętam tytułu, jaki nosił, był niejaki p. Fontana, człowiek energiczny i surowy którego baliśmy się niezmiernie i którego potężny nos i górne zęby, jedne na drugich leżące i wystające tak, że ust dobrze zamknąć nie mógł, dotąd mi są pamiętne. Szkoła złożona z trzech klas, była wówczas w ruinach klasztoru na rynku miasta znajdującego się, naprzeciw owego ogromnego budynku z arkadami, gdzie były sklepy. Jaki to był klasztor, już tego nie pamiętam. Wiem tylko, że jeden jego pawilon, gdzie byly klassy i mieszkanie p. Fontany był mniej więcej cały, a reszta murów w zupełnej rozwalinie. Z owego czasu pamiętne mi upokorzenie miłości własnej, któregom doznał i które mię wiele łez i zdrowia kosztowało. Ucząc się dobrze, zawsze chwalony i na pierwszem miejscu w szkole siedzący, zaprosiłem córki mojego gospodarza na examen, upewniając je, że dostanę order na szerokiej żółtej wstędze, z napisem z jednej strony „*Zur Belohnung*“ a z drugiej z ogromnym orłem austryackim. Tym czasem order dostał niejaki drymblas Łoniński, chłopak mający dwa razy tyle lat co ja, a ja.... tylko pochwałę. Panny ze mnie żartowały, żem się przechwalał, a mnie serce się ściskało i płacz serdeczny porwał na tę niesprawiedliwość ludzką. Niestety! nie wiedziałem o tem, że później tyle niesprawiedliwości ludzkich zniosę z uśmiechem tylko, że nie jeden grot krytyki nie zaboli mię wcale, że nawet potwarz odbije się od piersi, nie poczuwającej się do winy, którą mi w oczy ciśnie złość i zła wiara. Order wszakże nie minął mię na przyszły rok w klassie drugiej, i pamiętam jak dziś z jaką fantazyą prowadziłem ordynek ze szkoły do kościoła, a na szyi mojej błyszczała ta żołta wstęga, na trzy palce szeroka, z wielką kokardą na piersiach, na której leżał tombakowy medal z orłem i napisem. Dziś błękitna wstęga i gwiazda brylantowa mniejby mię ucieszyła.— W r. 1806 skończyłem tę szkołę normalną.....

„Wspomnę jeszcze o samych Brodach, jak wówczas były i w pamięci mojej pozostały. Za ową rogatką, która była granicą wolnego miasta, ciągnęła się ulica, podobno lwowska, źle zabudowana, mająca z lewej strony błota, a za niemi nędzne chaty, z prawej wielki browar skarbowy, dalej sianożęć mego ojca, a dalej różne budynki dość liche, między któremi ledwie cztery lub pięć murowanych. Ta się ciągnęła aż do drugiej rogatki, już dominikalnej, która na co tam była nie wiem, ale od której na prawo ciągnął się wał, jeszcze wówczas dość dobrze utrzymany i który z tej tylko strony otaczał miasto i oddzielał je od jurydyki, zdaje mi się do probostwa należącej. — Od tej rogatki szła dalej ulica z drewnianych budynków złożona, i wychodząca na wielki plac kwadratowy, którego dwa boki, północny i południowy zajmowały domy zajezdne żydowskie, cały zaś bok wschodni zajmowały zabudowania wspomnianego już Bacha.— Ten Bach był z początku sam furmanem, później kupił sobie ten zajazd furmański, gdzie nikt inny nie zajeżdżał, tylko owi furmani frachtowych bryk niemieckich z ogromnemi i tłustemi konmi i policzkami, zbogaceni niezmiernie przewozem wszystkich towarów z Niemiec do Rossyi i nawzajem, gdy system kontanentalny wszystkie inne drogi pozagradzał. Trudno sobie wyobrazić, co to był za ruch handlowy wówczas w Brodach, jaka masa tych furmanów, i dla tego nie dziw, że ów Bach z początku rozszerzył domostwo swoje drewnianemi budynkami, a potem wymurował tam kamienicę.—Z tego placu wychodziło się wązką uliczką między kamienicą Lachety, a domem piekarza Sztorcha na plac kościelny. Biedny to był i mały na tak wielką ludnośc kościółek, choć probostwo było dość bogate. A był jedyny rzymsko-katolickiego wyznania, bo oprócz dwóch cerkwi unickich, innej tam świątyni bożej nie było. — Od kościoła do rynku szła ulica dość porządnie zamurowana, gdzie był dom i kantor bogatego kupca Laszkiewicza, także zniemczonego Krakowianina. Rynek kwadratowy miał naokoło domy murowane, ale różnej architektury. Od strony kościoła i zamku były domy żydowskie, dawniejsze, z trójkątnemi dachami, całą linią od zachodu zajmowały ruiny klasztoru, od wschodu zaś, nowe i dość ładne kamienice, a między temi najokazalsza bankiera Hausnera i Violanda, który to dóm w owym czasie wielkie robił interesa i przyszedł do ogromnej fortuny. Była też druga firma żydowska Chaskiel et Compagnie, także wówczas bardzo zamożna. — Sam środek rynku zajmował wielki, nizki budynek, z arkadowem przejściem naokoło, gdzie były sklepy żydowskie, pełne wówczas najrozmaitszych towarów, ale ile sobie przypominam brudne i niesłychanie śmierdzące. — Z rynku, wązką uliczką między murowanemi żydowskiemi domami wychodziło się na wielki plac zamkowy. — Zamek ten, dość obronny, porządnie obmurowany wałami, w których były obszerne kazamaty, stał jeszcze wówczas cały, z występami do krzyżowego ognia, ze zwodzonym mostem, przed którym był wielki budynek przedmostowy z dużą wieżą czworoboczną, na której znajdował się zegar, jedyny w całem mieście.

Za zamkiem ciągnęło się błoto i dalej staw, i ztamtej strony był on nieprzystępny. Od strony miasta broniły go szerokie rowy przed murami, które widać można było zalać wodą ze stawu łahodowskiego, który był obfity i wielki.— W zamku na obszernym dziedzińcu był tylko na środku krąg starożytnych lip, ogromnych i wonnych — z prawej strony oficyna, gdzie się mieściła kancelarya Dominium, drewniana na podmurowaniu, przyparta do wałów fortecy, a wprost bramy wjazdowej, wielki piątrowy pałac, z ogromnemi salami, gdzie mieszkał komisarz Potockiego, zarządzający całym kluczem, mandataryusz i justycyaryusz, i gdzie całe pierwsze piętro stało pustką, bo pan Wincenty Potocki, ówczesny dziedzic Brodów, porzuciwszy Niemirów, mieszkał w dworku niedaleko od zamku.— Świetnie wyglądał ten zamek w r. 1809. Chłopcem małym będąc, przyleciałem z Krzemieńca, aby obaczyć

polskich ułanów i trafiłem na 15 sierpnia, na uroczysty obchód imienin Napoleona. Był tam wówczas pułk Adama Potockiego, był nowo sztyftowany pułk Ryszczewskiego, był szwadron szaserów konnych Prebendowskiego w ogromnych bermicach. Łatwo pan sobie wyobrazisz, jak to wszystko interesowało, jak rodzice nie mogli nas w domu utrzymać, jak pieszo lataliśmy do Brodów, aby widzieć musztry i exercycye nowego żołnierza, jak żałowałem, żem miał dopiero dwanaście lat, jak przynajmniej z drewnianym pałaszem i w papierowych własnego wyrobu ułańskich czapkach i ładownicach uwijaliśmy się z bratem po naszym lasku, ścinając paproć, która nam wyobrażała nieprzyjaciół naszych. - Wszystko to przeszło jak sen, i z tych pięknych nadziei, ofiar i krwi przelanej nic nie zostało, oprócz wspomnień i kilku desperackich czynów męztwa i odwagi, którą Bóg dał polskiemu sercu...*)

Starsza siostra Zygmunta Augusta.

SZKIC HISTORYCZNY.

(Ciąg dalszy.)

Zatrzymani w obozie magnaci ucztowali wesoło, a śród brzęku kielichów i gwaru rozmowy ani przez myśl nie przeszło żadnemu, jaki czyn zdradziecki dokonywał się w tej chwili w stolicy. Dość wcześnie miały jednak wszystkim otworzyć się oczy. Skoro tylko nadeszła wiadomość o szczęśliwem otoczeniu twierdzy i stolicy, kazał Soliman z pośrodku uczty przywołać węgierskich gości przed swe oblicze. Czekało ich teraz odmienne i wcale niespodziewane przyjęcie.

Sułtan Soliman groźnem spojrzeniem odpowiedział na ich ukłony unižone, i chmurny i gniewny zapytał ich szorstkim głosem, jak śmieli zezwolić, aby król Janusz po tylu dobrodziejstwach doznanych zawarł sojusz z Ferdynandem, nie opowiedziawszy się zgoła Sułtanowi.

Panowie węgierscy nie przygotowani bynajmniej na tak doraźną zmianę rzeczy potruchleli i zaledwie tylko zręczny i przebiegły Martinuzzi mógł zdobyć się na razie na kilka słów uniewinnienia.

Sułtan wybuchł jeszcze sroższym gniewem i mieniąc wszystkich niegodziwymi zdrajcami, groził zemstą nieubłaganą. Dopiero po niejakimś czasie ochłonął cokolwiek z gniewu i zaczął przemawiać łagodniej.

Zawarty potajemnie z Ferdynandem traktat pokoju zmieniał jego zdaniem dotychczasowy stan rzeczy i wymagał gruntownego roztrząśnięcia całej sprawy węgierskiej. Kazał więc przywołać wszystkich swych celniejszych baszów i poufników i w przytomności potrwożonych magnatów węgierskich zagaił narady, co począć z Węgrami i królową Izabellą.

*) Wszystkie te wiadomości opierają się na powadze dokumentów autentycznych, które drukiem ogłosić zamyślam, skoro tylko jakiego nakładcę pozyskam. *S. B.*

Tak ważną kwestyę niepodobna było rozwiązać jednym zamachem. Wytoczone narady przeciągnęły się na dzień następny i dalej aż do tygodnia a codziennie niemal zmieniało się zapatrywanie samego Sułtana.

Basza Belgradu człowiek dziki i okrutny radził usilnie, aby na uniknięcie ciągłych wypraw w obronę Węgier przeciw uroszczeniom Ferdynanda, wcielić raczej cały kraj do państwa ottomańskiego; odesłać królowę do jej ojca polskiego, królewica zabrać z sobą do Carogrodu i wychować go w wierze proroka a wszystkie twierdze węgierskie obsadzić silnemi załogami tureckiemi. Nakoniec żądał, aby wszystkich znakomitszych magnatów wymordować do jednego, zamki ich zrównać z ziemią, a rodziny wziąć w jasyr i zagnać do Azyi.

Soliman skłaniał się już napół do rady okrutnika; panowie węgierscy potruchleli w piekielnym popłochu, a nad głową królowej Jagiellonki i jej dziecięcego syna nader groźna zawisła chmura. Na szczęście w najgwałtowniejszej potrzebie przybył jej dość potężny sprzymierzeniec.

Ujęty bogatemi darami panów węgierskich Rustern Bocza, szwagier Sułtana, zabrał śmiało głos w radzie i stanął w obronie nieszczęśliwej matki, której chciano wydrzeć dziecię jedyne. Znając wszystkie słabe strony Solimana uciekł się Rustern do najskuteczniejszego środka, przemówił się do jego dumy i wspaniałomyślności.

— Niegodną byłoby potężnego padyszacha, przed którym cały świat drzy i ugina kolana krzywdzić i uciskać bezbronnych — wykrzyknął w uniesieniu — wielki, potężny wspaniałomyślny Soliman kruszy na miazgę, rozbija w pył tych, co mu śmią harde stawić czoło, ale łaska jego nieprzebrana podnosi i wspiera wszystkich, co w ufności i pokorze garną się pod jego skrzydła potężne i na klęczkach żebrzą jego pomocy.

Sułtan wysłuchał z widocznem zadowoleniem przemowy swego szwagra i poznać mu było zaraz z oczu i całej fizyonomii, że zmienił zupełnie myśl niedawną....

Los królowej Izabelli rozstrzygł się jeszcze pomyślnie tym razem, z zawisłej nad jej głową chmury nie spadł grom, który miał ugodzić wprost w jej serce macierzyńskie.

Zaraz nazajutrz otrzymała list sułtański, w którym Soliman przysięgał na proroka, na swoich przodków, i swoją szablę, iż Budzyń i całe królestwo węgierskie powróci jej synowi, skoro tylko dojrzalszych dostąpi lat. Tymczasem porucza mu władztwo nad Siedmiogrodem i wzywa królowę Izabellę, aby opuściła Budzyń i jak najrychlej udała się na miejsce swego nowego przeznaczenia.

Jednocześnie wypuścił Soliman na wolność zatrzymanych w obozie magnatów, Jerzego Martinuzzi potwierdził w godności opiekuna nad małoletnim królem, Petrowicza mianował dowódzcą Temeszwaru, a Stefana Verböcza najwyższym sędzią węgierskim z dzienną płacą dziesięciu dukatów czyli pięciuset aspern.

Tylko jednego Walentego Töreka zatrzymał w niewoli jako zakładnika, jużto że obawiał się jego doświadczonej waleczności w boju i wielkiego znaczenia w kraju, już, że uległ poszeptom Martinuzzego, który wszelkiemi środkami i sposobami chciał się pozbyć niebezpiecznego i niemiłego współzawodnika.

Sama królowa Izabella musiała rada nierada opuścić niezwłocznie Budzyń i wybrać się w drogę do Siedmiogrodu. W ziemi tej nie uśmierzyły się jeszcze zeszłoroczne niepokoje. Na pół tylko ukorzeni Majlath i Balassa podnieśli na nowo głowę i zatrzęśli całym Siedmiogrodem.

Z rozkazu Sułtana musieli Piotr, wojewoda wołoski, i Achmet Balibog, basza nikopolski, korzyć buntowników. Udało im się niebawem schwytać niegodnym podstępem samego Majlatha, a tym sposobem za jednym zamachem stłumili powstanie, ale za to też wywołali w całym kraju jak największy wstręt do opieki tureckiej i wielką niechęć do samej królowej Izabelli, którą uważano w zaślepieniu za zwolenniczkę tureckiej pomocy i opieki.

Zniepokojona i zasmucona usposobieniem ludu, którym władać miała aż do pełnoletności syna zatrzymała się szlachetna Jagiellonka w Lipie w pół drogi, usiłując polubownemi środkami i przedstawieniami uspokoić wzburzone umysły i wzniecić zaufanie do siebie i swoich rządów pierwej, nim wstąpi na ziemię.

Byłoto na owe czasy nieco przytrudne zadanie, wszak że dyplomatycznej zręczności Martinuzzego udało się w samej rzeczy bez rozlewu krwi i wszelkich środków gwałtownych uchylić wszelkie przeszkody i pojednać królowę szczerze z poddanymi.

Izabella objęła tedy panowanie nad Siedmiogrodem i resztką pozostawionych jej Węgier północnych. Podzieliwszy naprzód kraj cały na trzy wielkie prowincye, pozostawiła jedną pod swym bezpośrednim zarządem, a dwie inne powierzyła Jerzemu Martinuzzemu i Leonardowi Secsi.

Wszakże mimo wszystkich doznanych dotąd łask Sułtana i wszelkich dalszych jego obietnic i zapewnień, nie mogła się pobożna Jagiellonka pogodzić z opieką tak nienawistnych jej z samego imienia pogan. Zaledwie oddaliła się z pod ich mocy weszła zaraz w nowe układy z Ferdynandem.

Ferdynand skwapliwie przyjął propozycye szlachetnej przeciwniczki, w Drohiczynie zjechali się posłowie obustronni i rozpoczęły się układy nad stanowczym pokojem. A jak przedtem tak i teraz obie strony oglądały się z równą ufnością na polskiego sąsiada, sławionego z mądrości i zamiłowania w pokoju Zygmunta. I Ferdynand i córka Izabella odzywali się do jego pośrednictwa, żądali jego rękojmi dla przyszłego pokoju.

Ulegając prośbom obustronnym, wysłał Zygmunt Stary swego „dworzanina“ Piotra Lubomirskiego do Karlsburga, gdzie przebywała królowa. Za jego przyczynieniem się stanął też po długich naradach uroczysty pakt między obudwoma stronami:

Izabella zrzekała się na korzyść Ferdynanda wszystkich dóbr i grodów należących do Węgier i obowiązywała się wydać koronne klejnoty węgierskie. Natomiast miał Ferdynand w duchu dawniejszych traktatów z Januszem utworzyć dla jej syna udzielne hrabstwo spiskie z zamkiem obronnym, tudzież winien był aż do załatwienia wszystkich pomniejszych kwestyj spornych płacić jej rokrocznie po 12 tys. dukatów w złocie.

Całkowite dopełnienie obustronnych warunków pokoju miało nastąpić w przeciągu dwóch lat. Na wypadek jakichkolwiek nowych, nieprzewidzianych trudności lub nieporozumień poddawały się obiedwie strony spólnemu wyrokowi króla Zygmunta Starego i cesarza Karola V, a wszelkie dalsze przez nich ustanowione warunki musiały być w przeciągu dwóch lat wykonane.

Zrzekłszy się niniejszym traktatem do reszty węgierskiej korony i węgierskich posiadłości, pocieszała się królowa nadzieją, że w pozostawionym sobie Siedmiogrodzie spędzi dalsze chwile życia w stalszym pokoju i pomyślniejszej doli.

Niedługo atoli miało trwać jej złudzenie.

W najbliższym zaraz czasie nowe ciężkie i twarde czekały ją koleje. Podołać rządom nad zawichrzonym krajem w tak trudnej dobie i śród tak niepomyślnych okoliczności było to nad siły kobiety, chociaż tak niepospolite łączyła przymioty duszy i serca i tak sumiennie pojmowała swe obowiązki. Coraz nowe trudy i przykrości wyrastały jakby z ziemi, a bezecna i haniebna zdrada naraziła ją niebawem na najcięższą ze wszystkich dotychczasowych próbę.

Izabella ujrzała się nagle zaskoczoną i oblężoną silnym wojskiem zwycięzkim w własnej stolicy, a bezsilna i opuszczona gotowała się co chwila wpaść wraz z synem w niewolę zawziętego nieprzyjaciela.

Nieprzyjacielem tym zaś nie był ani potężny Soliman, postrach ówczesnego świata chrześciańskiego, ani możny sąsiad Ferdynand, słuszny pretendent do wszystkich ziąm węgierskich, ale obsypywany najwyższemi łaskami i zaszczytami poddany, własny opiekun małoletniego króla, Jerzy Martinuzzi.

Niezwyczajny ten człowiek wyniesiony z nizin najpospolitszego urodzenia do najwyższych dostojeństw, odgrywa tak ważną rolę w dziejach naszej bohaterki i tak dziwne i ciekawe w życiu swem przechodzi koleje, iż wypada nam dłuższy poświęcić mu ustęp, zwłaszcza gdy całą świetność swoją zawdzięczał przypadkowemu pobytowi w naszej ojczyźnie.

Urodzony w Dalmacyi z ubogich i pospolitych rodziców nazywał on się właściwie Jerzy Utissenovich. Dzieckiem jeszcze wszedł w służbę domu zapolskiego i za jego protekcyą dostał się późnicj do klasztoru św. Pawła w Budzyniu. Po złożeniu ślubów zakonnych i dostąpieniu święceń kapłańskich przeniesiono go z Budzynia do jednego z klasztorów paulińskich w Polsce, gdzie niebawem osiągnął superiorstwo.

W takiejto godności poznał go Janusz Zapolia podczas swego pobytu w Polsce. Uderzony jego wszechstronnem wykształceniem i niepospolitemi zdolnościami zniewolił go Zapolia do powrotu do Węgier i wyniósł w krótkim czasie do najwyższych zaszczytów. Zamieniwszy swe pospolite imię Utissenovich na Martinuzzi, piastował były superior polskich Paulinów najpierw urząd podskarbiego, później zasiadł na biskupstwie waradyńskiem, używając nieograniczonego zaufania u podstarzałego i chorowitego króla.

On to jak widzieliśmy toczył układy ślubne między królem Januszem a polską Jagiellonką, on przewodniczył w gronie rad i dygnitarzy korony, a po śmierci króla objął ster rządu jako pierwszy i główny opiekun dziecięcego królewica. Za jego to wpływem i impulsem oparły się Wę-

*

gry ugruntowanym w uroczystym traktacie pretensyom austryackiego Ferdynanda i zawezwały pomocy Solimana.

Po zajęciu Budzynia przez wojska tureckie towarzyszył królowej do Siedmiogrodu, a uspokoiwszy rozruchy w kraju i przejednawszy niechętne królowej umysły, objął z jej ramienia zarząd wszystkiego kraju między rzekami Köresz a Cissą. Wywierając w charakterze opiekuna królewica przeważny wpływ na całą zewnętrzną i wewnętrzną politykę królewskiej wdowy, miał on nadto jako podskarbi koronny wszystkie dochody państwa w swoim ręku.

Wszakże wszystkie te tak wysokie zaszczyty i dostojeństwa nie zaspakajały jeszcze nienasyconej ambicyi byłego superiora polskich Paulinów! Z każdym dniem stawał się on uciążliwszym koronie, niezawiślejszym w swoich krokach publicznych. Otoczony licznym dworem i prawdziwie królewskim przepychem szafował według upodobania skarbem koronnym, raził nieokiełzaną dumą najznamienitszych panów i dygnitarzy, a nawet królowę samą, hojnością zaś bez miary zwiększał nieustannie zastęp swych stronników i przyjaciół.

Tak przeważne stanowisko człowieka znanego powszechnie z nieograniczonej ambicyi musiało nakoniec wzniecić niepokój i podejrzliwość reszty panów i rad, a mianowicie Piotra Petrowicza, drugiego opiekuna małoletniego króla.

Za jego namową zażądała Izabella od podskarbiego rachunku ze skarbu królewskiego i całorocznych dochodów państwa. Niestrwożony bynajmniej Martinuzzi nadesłał królowej dumną odpowiedź:

— Skarbem królewskim zarządzam jak mi nakazuje sumienie. Pamiętając o moich obowiązkach, przestrzegam ładu i porządku w mojej administracyi. Wszakże sam tylko król może żądać odemnie rachunku i pociągać mię do odpowiedzialności. Królowi też zdam sprawę skoro tylko dojdzie pełnoletności.

I nie troszcząc się o dalsze nalegania i rozkazy królowej otoczył się jeszcze większym przepychem i jeszcze niepodleglejsze zajął stanowisko.

Obrażona królowa nie widziała się w siłach ukrócić zuchwałości możnego dostojnika i ująć go napowrót w karby posłuszeństwa.

Jakoż zrażona i zniechęcona tylą przeciwnościami na obcej ziemi postanowiła wówczas już wrócić na zawsze do ojczyzny, zrzekając się berła i korony, do których tak ciężkie i trudne przywiązane były próby.

Lecz zamiar tak ważny i stanowczy nie dał się wykonać bez zwrócenia na siebie uwagi główniejszych dygnitarzy korony a temsamem nie mógł się urzeczywistnić w żaden sposób. Oparli mu się z całą usilnością wszyscy magnaci nie wyłączając samego Petrowicza, który właściwie wywołał te zatargi monarchii z butnym dostojnikiem. Wbrew swej chęci i woli musiała Izabella zatrzymać znienawidzoną koronę i pozostać w kraju, gdzie każdy krok jej napotkał tylko grudy i ciernie.

Aby jednak utrzymać królewską powagę wobec uzuchwalonego poddanego pszyszło w braku sił własnych zażądać obcej pomocy. Izabella przemówiła się o nią najpierw u ojca polskiego. Atoli król Zygmunt zaprzątnięty wysoce ważnemi sprawami domowemi, a mając właśnie do czynienia z sejmem opornem, nie mógł wyjść w swej dotychczasowej roli polubownego pośrednika i z bronią w ręku stawać w obronie córki zagrożonej.

Wyprawił przecież niezwłocznie posła swojego Andrzeja Jakubowskiego, herbu Topor, który słusznemi przedstawieniami miał zniewolić Martinuzzego do opamiętania się i uległości dla prawej monarchini.

Proste środki dyplomatyczne bez nacisku groźby nie wywarły najmniejszego wrażenia na urosłym w butę dostojniku. Zaczął on owszem postępować nadal jeszcze zuchwalej i jak pisze spółczesna kronika polska, jął otwarcie czynić krzywdę królowej, po zameczku po dzierzawie jej odejmując.

Zagrożona Izabella musiała uciec się do ostatniego środka, do jakiego natchnąć ją mogła tylko obrażona duma i miłość ku jedynemu dziecięciu. Wyprawiła posła do Solimana, wyrzucając mu, jakiegoto opiekuna potwierdził dla Januszowego potomka.

Pomny na dawną przyjaźń z królem Januszem ujął się Soliman za jego wdową uciśnioną. Zaraz nazajutrz po wysłuchaniu jej żałoby wysłany został umyślny czausz do Martinuzzego z upomnieniem, iż jeźli natychmiast nie ukorzy się przed obrażoną królową, sułtan sam wyruszy przeciw niemu i ukarze surowo zuchwałości.

Dopiero po takiej groźbie strasznego i potężnego Solimana uległ na pozór dumny opiekun królewski. Oświadczył królowej uroczyście, iż gotów jest zdać jej sprawę z wszystkich czynności swoich, byleby mu tylko pozwoliła pewien przeciąg czasu do uporządkowania żądanych rachunków.

Izabella przychyliła się w dobrej wierze do żądania, dążącego jedynie do uzyskania czasu, aby osłabić pierwszy impet sułtana i uknuć nowy plan zdradziecki.

Jerzy Martinuzzi nie tak łatwo uginał się przed obcą wolą i nie miał chęci wyrzekać się znaczenia i stanowiska, jakiego używał przez czas tak długi.

Porządkując na pozór rachunki, załatwiał on wcale innego rodzaju sprawy, wszedł w tajne porozumienie z Ferdynandem, do czego wyborna nadarzyła mu się sposobność, bo właśnie dla pomniejszych jakoby spraw przybyli do Siedmiogrodu posłowie austryaccy hrabia Salm i Zygmunt z Herberstyna, znany z pozostawionej po sobie kroniki wypadków spółczesnych.

Z tymi to posłami zawarł Martinuzzi po długich układach sekretną umowę, gdzie opierając się na zagwarantowanych warunkach znanego traktatu z królem Januszem, zastrzegał przyznane Januszowemu potomstwu prawa a natomiast zobowiązywał się doprowadzić królowę Izabellę do zupełnego zrzeczenia się Siedmiogrodu i reszty Węgier. W nagrodę za tak ważną przysługę miał przy mnogich innych łaskach i zaszczytach otrzymać arcybiskupstwo strygońskie. Nadto obowiązywali się także posłowie w imieniu swego pana, że dwór austryacki przyłoży całego swego wpływu w Rzymie, aby wyjednać mu kapelusz kardynalski.

Jakkolwiek cała ta umowa w jak największym stanęła sekrecie, dowiedziała się przecież królowa wcześnie o wszystkiem. Oburzenie jej przeciw zdradzieckiemu opiekunowi synowskiemu doszła teraz do najwyższego stopnia

Folgując też pierwszemu wybuchowi gniewu ogłosiła go publicznie zdrajcą ojczyzny i ufna w pomoc Solimana rozpoczęła pierwsze kroki nieprzyjacielskie.

Zawiodła się jednak na zbrojnych siłach, jakie pod wodzą Petrowicza mogła postawić do boju. Nie podołały one przewadze Jerzego Martinuzzi i nie mogły się nawet trzymać tak długo, aż nadejdzie pomoc turecka. W jednej bitwie zniósł i rozprószył je zupełnie wódz Martinuzzego i w nader krótkim czasie zajął wszystkie ważniejsze miasta i zamki koronne.

Sama królowa zawarła się w swej stolicy, w niezbyt obronnym Karlsburgu. Wnet atoli nadciągnął Martinuzzi w dwadzieścia tysięcy ludzi i obległ twierdzę dokoła. Szczupła, zachwiana na duchu załoga słaby tylko rokowała opór.

Lada chwila mogła królowa wraz z zamkiem dostać się w ręce nieprzyjaciela. Odsiecz na razie mogła spaść chyba tylko z nieba.

d. c. n.

ZWIERCIADŁO,

w którem obaczy każdy co chce i czego nie chce.

I.

Od łyczka do rzemyczka.

(Dokończenie.)

Twarz opowiadającego zadrgnęła jakiemś nieprzyjemnem uczuciem. Zdawało się, że wyrzeczone słowa poruszyły w głębi serca osiadłe męty. Człowiek wychodzi z rąk Stwórcy z czystem sercem, przez które wskróś widzieć można. Ale gdy w nie wsiąkną złe rzeczy, to wszystko się tam zamąci. Wtedy najszlachetniejsze wspomnienia wypłyną na wierzch mętem, a nawet święte słowo „ojczyzna" potrąci o brudne fale.

Po chwili mówił dalej obwiniony:

— Ojciec oddał mnie do zakładu, z którego miałem wyjść znakomitym człowiekiem. Zakład ten był pod wyłączną opieką Wielkiego księcia. Uczono tam wprawdzie wiele, a nawet uczono rzeczy nader potrzebnych. Czemże to wszystko dla mnie było? Obcy ludzie, obcym językiem mówili do mnie. Oschła nauka była ich celem ostatecznym. A jeżeli tę naukę potrzeba było do życia zastósować, wtedy celem ostatecznym była — służba, służba u tych, którzy przemocą stali się panami naszej ziemi ojczystej. Do serca nigdy nie przemawiano — wyschło, schłodniało. Nigdy nie podniesiono nauki do jednej z potęg narodowych, która naród pokrzepia i prowadzi go na czele ludzkości. Nigdy nie powiedziano mi, że nauką moją mogę służyć ojczyźnie, że każdy trud dla niej podjęty powinien w mem sercu największą budzić rozkosz... że śmierć dla ojczyzny to zenit cnoty ludzkiej, do którego tu na ziemi może się człowiek podnieść i zbóstwieć... Mnie mówiono, że za aplikacyą moją nagrodzony będę honorami i zaszczytami i łaskawością samego władzcy.

...Po kilku latach pobytu w tym zakładzie zapomniałem prawie do szczętu mojej mowy macierzyńskiej. Oddalano starannie odemnie to wszystko, coby mi mogło przypomnąć dzieje ojczyste, coby mnie mogło zapalić do naśladowania tych wielkich bohaterów naszych, którzy na polu chwały ginęli śmiercią prawdziwych synów ojczyzny, zasłaniając własną piersią kraj ojczysty przed zuchwałym wrogiem, podłym najezdnikiem. Wszystko to wypleniono starannie z młodej mojej dnszy, cóż dziwnego, że poszedłem drogą, na której mnie dzisiaj przydybaliście? Rozum jasno widzi tę drogę, widzi, że nie jest prosta i dobra, a jednak nie mając popędu od serca, nigdy jej nie porzuci!

...Moje serce już wcześnie zamilkło. Nigdy nie zapomnę rozmowy, jaką miałem z dawnym moim kolegą po ukończeniu nauk w tym zakładzie. Byłto człowiek ubogi, miał talent do malarstwa i poszedł drogą, jaką zazwyczaj ten talent nieszczęsny u nas prowadzi. Zdybałem go w restauracyi przy obiedzie. Byłato jedna z lepszych garkuchni naszego miasta, a nawet *par excellence* nazywała się francuzką. Dziwiło mnie to, że ubogi nrtysta zaszedł do droższej restauracyi. W pierwszej chwili chciałem mu zapłacić obiad. Widząc jednak, że przywitał się ze mną z pewną dumą, odstąpiłem od mego projektu. Siedliśmy obaj obok siebie. Spostrzegłem, że dumny artysta zjadł tylko talerz rosołu i coś jeszcze nie bardzo wykwintnego. Zaproponowałem mu, aby jadł na mój koszt.

— Widzę — rzekłem z uśmiechem mecenasa — że sztuka nienajlepiej żywi swoich adeptów. Proszę cię, pozwól sobie na moją kieszeń.

Czerwony pąs okrył twarz chudego artysty. Opryskliwie zapytał mnie:

— Jakto rozumiesz? Czy sądzisz żem głodny?

Zacząłem mówić to i owo, jak to zazwyczaj ludzie przyzwoicie wykształceni mówić umieją. Mówiłem, że sztukę wysoko cenię i że radbym mu być w czem pomocnym.

— Sztuka jest to zakon boski — odrzekł młody Apeles — kapłanom wolno pościć i mrzeć z głodu, ale nie upodlać się do wyciągania ręki tam, gdzie ta ręka datkiem skalaną być może.

— Mój ty arcykapłanie — zawołałem popijając *Lafitte* — powiedz mi szczerze i otwarcie, jak ci się sztuka wasza wypłaca? Przecież u nas muszą być amatorowie!

Dumny Apeles rzucił głową w tył, aby czuprynę z czoła odsunąć i odpowiedział:

— Pracuję teraz nad wielkim historycznym obrazem, który przedstawia chwilę odrodzenia się nieszczęśliwej naszej ojczyzny. Znana powszechnie scena ostatniego naszego powstania...

— Proszę cię — zagadnąłem — czy obraz ten obstalowany?

— Wcale nie — odrzekł — a nawet nie spodziewam się znaleźć na niego kupca.

— A z czegoż żyć! — zawołałem.

Apeles machnął ręką na te znikomości ziemskie i począł sobie przyrządzać *papiros*. Zapaliwszy nienajlepszego gatunku tytoń, wydmuchnął mi przed nos kilka kłębów dymu i rzekł:

— Sztuka u nas jest dzisiaj, czy raczej powinna być jedną z potęg narodowych. Każdy z nas, co kocha swój naród, powinien coś czynić dla niego. Dawniej byłbym przy-

pasał szablę, a bijąc wrogów, możebym zginął słodką bohaterską śmiercią. Dzisiaj jestem także żołnierzem, ale inną walczę bronią. To co mi w duszy wre i kipi, chcę upostacić, przelać na płótno, aby ci, co się na to popatrzą, rozgrzali się moją myślą jak się rozgrzewa wojsko śmiercią bohatera. Nie mając szabli, nie mogąc mówić, chce tym obrazem uderzyć w naród i powiedzieć; Narodzie, oto obraz twojej niewoli, a tam odrodzenie! Wybieraj, a tym, którzy lepsze wybrali, Bóg dopomaga!

Postrzelony artysta popsuł mi na chwilę apetyt swoją deklamacyą. Zapaliwszy wonne sygaro rzekłem z uśmiechem:

— Twego odrodzenia ojczyzny zapewne nikt niekupi. Nasi panowie nie lubią, aby im kto dawał w obrazach morały. Zresztą i tak kwestya trochę drażliwa... Ale radziłbym ci zejść na pole praktyczniejsze. I zaraz mógłbym dać ci co zarobić. Starej pani jenerałowej chcę uczynić niespodziankę. Jest to osoba nadzwyczaj chciwa błyskotek a przytem skąpa. Wiele jednak znaczy na wielkim naszym świecie. Zbierz się w kupę i pomaluj jej wachlarz jakiemi figurami lub arabeskami. Imie twoje dosyć głośne podchlebi jej, a co do zapłaty za tę robotę, ja z mojej kieszeni coś ci dorzucę. Będziesz miał tym sposobem wzięcie na wielkim świecie i będziesz jadał obiad na pięć potraw trochę lepszy od dzisiejszego.

Apeles mało mnie nie zabił wzrokiem, potem podniósł oczy ku niebu i zapewne w duchu wyrzekł te słowa: Panie odpuść mu, bo nie wie co czyni! — Ale wkrótce twarz jego przybrała wyraz elegijny, spojrzał na mnie żałośnie, a biorąc mnie poufale za rękę, rzekł do mnie:

— Daruj bracie! Powiedz mi, co ci pierś grzeje, co stuka w twem sercu tętnem życia?

— Jakto? nie rozumię cię — odparłem.

— Kiedy człowiek — mówił dalej ubogi malarz — ma w sobie jakąś myśl główną, jakieś uczucie, które go ożywia i pokrzepia na bolesnej drodze żywota, które nawet w śmierci każe mu czuć jakąś rozkosz rajską, gdy dla tej myśli, dla tego uczucia umrzeć mu wypadnie. Wszystkie akcesorya życia grupują się koło tej głównej myśli, tak jak w obrazie obok światła grupują się inne mniej jasne przedmioty. Odbierz obrazowi ten punkt światły, a cała kompozycya stanie się bezdusznym chaosem; odbierz życiu tę myśl główną, to dominujące uczucie, a będzie ono stekiem rupieci bezładnie rzuconych! Człowiek stanie się zwierzęciem, krew jego dyktować mu będzie prawa...

Na to odpowiedziałem mu:

— Mój kochany, zanadto poniżasz mnie i tych, co równe ze mną wyznają zasady. Wy, którzy wszystko zagorąco sądzicie, nie macie wyobrażenia o organizacyi naszej duszy. Ma ona swoje szlachetne namiętności, jakich wy nigdy niezaznaliście!

— I jakież to są te szlachetne namiętności? — zapytał mnie twórca odrodzenia się ojczyzny.

Zaprosiłem go nader grzecznie, aby mi zrobił ten zaszczyt i ze mną filiżankę kawy czarnej wypił. O mojej kieszeni już tym razem nic nie wspomniałem, bo wiedziałem, że ideologa strasznie to gniewało. A gdy spostrzegłem że kilka haustów aromatycznej moki w niezgorszy wprawiło go humor, rzekłem do niego:

— Pytałeś mnie, jakie są te wyższe namiętności, które stanowią u nas główną sprężynę życia. Nieraz o tem rozmawiał ojciec ze mną, więc mogę ci nawet jego słowa powtórzyć. Ród nasz jest znakomitego pochodzenia. Tradycya świetna przechodzi u nas z pokolenia w pokolenie. Wżyliśmy się tak w tę tradycyą, że dzisiaj niepodobna nam żyć bez tych wyszczególnień, któremi szczycili się nasi antenaci. Honory i zaszczyty stały się od pięciu wieków konieczną potrzebą naszego rodu. To są namiętności nasze, one mogą każdego z rodziny poprowadzić aż do poświęceń, do cnót najwyższych. Powiedzże mi mój Apelesie, który skomponowałeś na płótnie odrodzenie się ojczyzny, za pomocą oleju i blejwasu, czy podobne namiętności nie są szlachetne? Nie prowadzą one nas do pracy, do trudów, a nawet do ofiar?...

Na to strasznie głęboko zamyślił się mój zagorzały artysta, a zapaliwszy dla lepszej swady świeże sygaro, rzekł do mnie z wyrazem politowania na twarzy:

— Filozofia twoja, czy raczej fijozofia waszego rodu byłaby nie zła, gdyby jej wielkie nie groziło niebezpieczeństwo. Chęć wyszczególnienia się w społeczeństwie swojem przez czyny patryotyczne, jest zawsze szlachetną namiętnością, nawet wtedy, gdyby była tylko środkiem dla dostąpienia zaszczytów, czyli po prostu, gdybyśmy z próżności tylko chcieli być dobremi patryotami. Gdyby wedle tej zasady każdy ród, opierający się na świetnej tradycyi, w ten sposób sobie postępował, nie byłoby dzisiaj tak źle z nami, nie mielibyśmy tyle odszczepieńców.

Tu zrobił pauzę szanowny kompozytor „odrodzenia się ojczyzny“, aby mnie nieco pod przykrem wrażeniem przytrzymać, a widząc, żem słów jego wcale tak strusznie do serca nie brał, wstał z krzesła, i w wystudyowanej postawie prawił emfatycznie;

— Oto jest nieszczęściem dla nas, że ludzie twego widzenia rzeczy, trawieni ustawiczną gorączką honorów, w jakich cały ich ród się wychowywał, potrzebują do życia tych honorów bez względu na to, czy te honory właśnie całej ich tradycyi narodowej nie plamią? Człowiek, który w swem sercu zapalił tylko chęć błyszczenia, chęć osobistego wyszczególnienia się pod jakimi bądź okolicznościami, ten człowiek jest zdolny najczarniejszej zbrodni!...

Kompozytor „odrodzenia się ojczyzny“ uderzył przy tych słowach ręką w stół, a wziąwszy kapelusz odszedł krokiem tragicznym, nie podziękowawszy mi nawet za czarną kawę i wyborne sygaro moje. Przypomniałem sobie w tej chwili starego kapitaniska, który mi coś podobnego powiedział, tylko prościej tę rzecz sformułował. Śmiesznemi wydały mi się podobne argumenta, a przecież czas okazał, a najlepiej obecne moje położenie, że nie były tak płonnemi.

...W kilka tygodni miałem już na sobie mundur pułku Wielkiego księcia. Aplikowałem się jak mogłem najlepiej a za kilka lat służby i pracy, byłem jego najpierwszym ulubieńcem.

...Odtąd zaczęły ciążyć na mnie moje stosunki, w które wszedłem. Stosunki, to nowożytne węże Laokona, które owiną i zgruchoczą najzdrowszą pierś, najszlachetniej-

sze serce. Spostrzegłem, że mój poczciwy Apeles miał nieco słuszności w swojej perorze. Rządy Wielkiego księcia nie podobały się nieraz moim rodakom. Były ztąd niesnaski, zaburzenia. Brałem udział w przytłumieniach, bo tak mi nakazywała moja służba. Odtąd moi rodacy unikali mnie. To mnie coraz więcej podrażniało, w końcu zacząłem nawet z nich szydzić. Dla zaspokojenia jednak siebie rozumowałem w duchu w ten sposób; Cóż ja temu winien, jeźli tylko pełnię rozkaz tego, u którego służę? Służba moja winna temu, żem to lub owo czynić musiał, służba i honor mój dany w zakład wielkiemu księciu. Już to samo jest cnotą niemałą, aby nie złamać słowa honoru, i honoru swego stanowiska, dla którego i najzawziętszy przeciwnik musi mieć szacunek. Tak bywało w czasach rycerskich...

...Tym sposobem uspakajałem moje sumienie, a przy życiu roztargnionem i hałaśliwem jakoś mi to wystarczało. Rozumie się, że na drodze, na którą wszedłem, nie można było stać spokojnie. Sumienie moje czyniło mi coraz więcej koncesyi. Oddalony od tętn kraju rodzinnego, żyjący w obcej zupełnie atmosferze, straciłem zwolna wszelkie przyrodzone rodzinne uczucia moje, a gdy obce zaszczyty pierś moją okryły, już nie czułem w niej tego serca, które niegdyś w dziecięcym wieku moim rwało się na widok domu rodzinnego.

...Otóż taką drogą zwolna i nieznacznie zaszedłem aż tam, gdzie człowiek z każdej smieje cnoty, gdzie forma konwencyonalna za wszystko mu starczy, gdzie pozbawiony sam wiary, nie wierzy w żadną przyrodzoną szlachetność serca ludzkiego, gdzie we wszystkiem widzi tylko sprężyny egoizmu i żyje gwoli ciała swego jako zwierzę. Jestem winien."

Tu przestał obwiniony, a w zwierciadle mojem zamąciło się jakby w wodach jeziora. Po chwili ktoś z tłumu zawołał: Winien jesteś, boś się od nas oderwał sercem i duszą. Kto nie żyje oddechem ziemi rodzinnej, kto nie klęczy wraz z całym narodem przy jej ołtarzach wiekowych, kto wraz z narodem nie modli się do straszliwego Sędziego na niebie, aby powściągnął swoją rękę karzącą — ten winien!...

Znowu zamgliło się zwierciadło moje, a głos wszelki ustał. Więcej już nic nie mogłem dojrzeć ani usłyszeć. Przeminęła snać chwila czarodziejska, a gdy znowu nadejdzie, może wam coś więcej napiszę. Wkładając do biórka zwierciadło, przywołałem do pamięci całe widzenie moje i pomyślałem sobie w duchu: Nie nowe to muszą być rzeczy, bo u nas od wiek wieków mówią, że wszystko złe idzie od łyczka do rzemyczka.

Taki też napis dałem temu pierwszemu widzeniu.

-xy-

CZAS, dodatek na miesiąc Sierpień r. 1860.

Bardzo zajmujące i jedyne w swoim rodzaju bywają zawsze w dodatku miesięcznym do Czasu wiadomości ze świata naukowego w Anglii przez Lacha Szyrmę. Przypominamy sobie zamieszczoną niedawno wiadomość o składzie uniwersytetu oksfordskiego tegoż samego autora, która jest niejako *pendant* do sprawozdania o „Ostatnich posiedzeniach stowarzyszenia brytańskiego w Oksfordzie." W tamtym sprawozdaniu mieliśmy obraz szkoły, jaką szkoła obywatelska być winna; tam uczy się młodzież i wychowuje zarazem na mężów stanu, nauki, na wojowników lub duchownych. Wychowanie i nauka zamknięte tam od wpływów świata zewnętrznego sposobią przecież tę młodzież dla świata, przedewszystkiem dla narodu.

W stowarzyszeniach naukowych, jakie istnieją w Anglii jest znowu nauka właśnie przeciwnie jak w innych krajach nie zamkniętą i nieprzystępną dla ogółu; ale owszem stowarzyszenia tam służą za szkołę dla tej części narodu, której do szkół wyższych zamknęły przystęp stosunki towarzyskie lub niedostatek.

Stowarzyszenia rozkrzewiają tam prawdziwie naukę w narodzie i otwierają całemu ludowi świątynię, która gdzie indziej najstaranniej przed nim zamykają albo sami piastunowie nauki albo rządy.

Na posiedzeniach stowarzyszenia brytońskiego w Oksfordzie czytał lord Wrottesley, rozprawę o najnowszych odkryciach w astronomii na zagajenie. Zagajenie to zajęło całe jedno posiedzenie. A przecież nikt się nie nudził i było przeszło półtora tysiąca słuchaczów.

Następnego dnia odbywały się dysputy naukowe w ośmiu wydziałach: matematyki i nauk przyrodzonych, chemii, geografii i etnologii i t. d. Słuchacze brali w tych rozprawach najżywszy udział wynadgradzając zwycięzcę oklaskami, zwyciężonego śmiechem. Najciekawszą dla nas była rozprawa Dr. Latham „O Jadźwingach", z której się okazało, że uczony Anglik dobrze obeznany z polskiemi kronikami. Było to w wydziale etnologiczno-geograficznym. „W sali tego wydziału, pisze Lach Szyrma, często przez połowę więcej znajdowało się kobiet niż mężczyzn. Niektóre nawet brały sobie notatki z odczytów i dyskusyi. Jednę młodą panienkę widziałem, dla której nawet rozprawa o Jadźwingach nie była zbyt oschłą i ciekawie wszystko ołówkiem zapisywała — i to w sposób jak raportery do publicznych pism tu czynić zwykli, notuję to jako nowinę umyślnie dla naszych rodaczek (a my dodalibyśmy i rodaków) nadniemeńskich i nadbużańskich (a my dodalibyśmy naddniestrzańskich). Mnie to samego zdziwiło" kończy p. Lach Szyrma.

W końcu dodać należy, że wstęp na te posiedzenia opłaca się i uczynił 1626 f.st. (16260 zł.w. a.) t. j. dwadzieścia razy tyle co u nas najuciesniejsza farsa na benefis uczynić może w polskim teatrze.

Pod napisem; „Pomniki dziejowe w krainie Daków" wywodzi p. Szczęsny Morawski ważność i potrzebę dla pierwotnych dziejów polskich poszukiwania starożytnych pomników i napisów w niegdejszej krainie Daków, chociaż zdaje się powątpiewać o ich tożsamości z przodkami Polaków.

„Diariusz uroczystości weselnych królewicza Augusta III z Maryą Józefą Austryacką." Dokument ten dziejowy mniej ważny dla dziejów w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale ciekawy jako obraz bardzo wierny ówczesnych zwyczajów w najwyższych warstwach towarzystwa.

P. Franciszek Rychlicki w artykule pod napisem: „Ksiądz Prinn, krytyka i replika" wynurzył w sposób kro-

tochwilny swoje niezadowolenie z uwag *Czasu* i *Kółka rodzinnego* o jego ortograficznej rozprawie, zamieszczonej dawniej w dodatku do Czasu. Spostrzegliśmy między innemi, że nasz ortograf pisze: regóła, Zofiuwka, że dreszcz jest u niego rodzaju męzkiego, pomimo że autorowie polscy i tak słusznie przez niego wielbiony Linde zaliczają dreszcz do żeńskich rzeczowników. *De gustibus non disputandum.*

Poemat p. Alexandra Moroza „Potrzeba Kircholmska zawiera wiele pięknych myśli, szczególnie ładne co do pomysłu jest zakończenie:

— Kapłan-prorok jak święty jaśnieje:
Wzywa do zgody, do trwania przy wierze
Bo wróg was, prawi, niesfornych zabierze,
I włoży jarzmo — i będzie niewola
Nędza i żałość, gdzie była swawola
Gdy te nieszczęścia ksiądz Piotr przepowiada,
Dziewica z bolu: O biada nam! biada!
Ozwie się nagle i pada zemdlona...
Ach! w tobie jękła dusza Polski całej!
Nie, ona twego nie opuści łona —
Ockniesz się na głos pogromu i chwały!

W przeglądzie piśmiennictwa znajdujemy drugą część artykułu p. L. Siemieńskiego pod n. Jan Sobieski zawierając zdanie o Roczniku Ordynacyi Myszkowskiej, a właściwie Listach Jana III. wydanych przez Helcla w Krakowie. Jeżeli co ubolewać nam każe nad przejściem biblioteki Świdzińskiego z rąk margr. Wielopolskich w inne ręce, to ta okoliczność że zapewne już takich roczników z takich rąk jak Helcla mieć nie będziemy. Rocznik ten zawiera nieoszacowany materyał dla historyka Polski i dla biografa Jana III, na którą, jak słusznie zauważył p. Siemieński, ku wstydowi naszemu prędzej się zdobyli cudzoziemcy niż my sami. Zato znalazł Sobieski dziś godnych pracowników dla artystycznego przedstawienia swoich dziejów w K. Szajnosze, a dla wyjaśnienia ich pod względem polityki i uzupełnienia materyałami nowemi w A. Z. Helcla. Listy Sobieskiego same celują nietylko ważnością dziejową ale powabem romantycznym, i p. Siemieński wskazuje trafnie na tę ich zaletę. Słuszne też są uwagi p. Siemieńskieęo co do ważności listów prywatnych jako materyału historycznego: „Pamiętniki, mówi p. S., niezawsze służą za środek odsłonienia prawdy i częściej możnaby je nazwać osobistą obroną przed kratkami potomności; listy przeciwnie nieprzeznaczone do publikacyi zdradzają wszystkie najskrytsze myśli i zamiary i zarazem pochwytują człowieka w chwilach uniesień, nagłych wrażeń, przemijających humorów. Ani jedne ani drugie nie rozstrzygają w oczach sumiennego badacza ostatecznie zdania. Listy są do poznania gruntownie człowieka bardzo pomocnym materyałem, jednakże niczem więcej.

P. Siemieński wyświadcza przysługę publiczności tem że zwraca uwagę na przedmowę p. A. Z. Helcla, którą listy są poprzedzone. Jeżeli bowiem znajdzie się czytelnik na listy Sobieskiego, to niejeden zapewne zwyczajem bardzo powszednim przerzuciłby przedmowę, pomimo tego, że Helcel ją napisał. Należało więc do krytyki oświecić czytających o ważności tej przedmowy dla całego dzieła. Tego zadania dokonał p. Siemieński. Jak Helcel pokazał czem publikacya listów Sobieskiego może być dla czytelnika, i podał w niej „klucz do wtajemniczenia się w ten materyał dziejowy: tak Siemieński pokazał czem jest Helcla przedmowa. Przytaczamy tu zdanie p. Siemieńskiego o niej: „Cokolwiek mógłbym powiedzieć o tych listach ważnych ze stanowiska dziejów i polityki, wyczerpanem zostało we wstępie do Czytelnika skreślonym piórem A. Z. Helcla. Jestto można powiedzieć arcydzieło, szczupłe co do objętości ale wartością nieocenione; Autor w tych kilku kartkach zostawił wzór i stylu i pojmowania rzeczy itd.“ Z tych i dalszych zdań wnioskować należy, że w p. Helclu mielibyśmy niemal jedynego dziejopisarza w piśmiennictwie naszem, który ze znajomością źródeł i dziejopisarską uczonością łączy trafny pogląd polityczny. czego prawie wszystkim dziejopisarzom naszym dotychczas brakuje. Pan Siemieński zakończa swój przegląd bardzo pięknym horoskopem dla przyszłości dziejopisarstwa, twierdzi on że „p. Helcel godnych następców w zawodzie historycznym upatruje w młodych wieie obiecujących pracownikach jak: Klaczko, Plebański, Szułe, Jarochowski, Neryng. Zorza to wschodzi od stron poznańskich...“

Miejsce politycznego artykułu zastąpił w zeszycie sierpniowym „Katechizm druzów.“ Ciekawa to rzecz, chociaż dzisiejszy stan Europy nastręcza publicyście ważniejszych dla nas przedmiotów. Złożone tu przez uczonego orientalistę p. Say najgłówniejsze zasady religii Druzów są dziwną mieszaniną islamizmu chrześcijaństwa i obudwu tym religiom obcych zasad. Najciekawszem wszakże znamieniem wiary Druzów jest to, że uznają trzech ewangielistów: Jana Marka i Mateusza, których nazywają kaznodziejami — że czczą ewanielią ale uznają Koran i przyjęli obrządki muzułmańskie w oznakach zewnętrznych, aby pozostać w ukryciu, żeby ich Turcy nie dręczyli. Ewanielią przypisują Messyaszowi, ale Messyaszem według nich był Hamza syn Alego w wieku Mahometa. Jezusa zaś mają za fałszywego Messyasza, pomimo tego był prawdziwy Messyasz między uczniami fałszywego i uczył syna Józefowego (Jezusa) co ma czynić, a gdy fałszywego Messyasza ukrzyżowano i do grobu złożono wtedy prawdziwy jego ciało wykradł i rozgłosił wieść że Messyasz zmartwychwstał.

Słowem jestto najdziwniejsza mieszanina wyobrażeń religijnych i podań historycznych.

W kronice nie masz znowu nic prócz korespondencyi z Paryża, która podobnie jak „Gazetka“ nie ma nic nowego bo pisane obie jeszcze w Sierpniu.

— Nikodem Biernacki powrócił ze swojej artystycznej podróży odbytej w kraju zabranym. Dawał koncerta w Kijowie, Żytomierzu i innych miejscach. Szczególnie dobrze był przyjmowany w Kijowie tak przez Polaków jak Rosyan. Czytaliśmy w dziennikach tamtejszych (między innemi w kijowskim Telegrafie) nadzwyczaj pochlebne sprawozdania o jego koncertach. Widzieliśmy także u Nik. Biernackiego album, w którem tamtejsi literaci: Pietkiewicz (A. Pług) Apollo Korzeniowski i in. powpisywali wiele pięknych myśli na cześć naszego skrzypka. Uderzył nas w tem album wiersz polski wpisany przez Rosyankę i drugi podobnyż przez Rosyanina.

Wydawcy i dpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.